

## Treść tomu X, październikowego 1905 r., ogólnego zbioru LII.

1.	Bogarodzica naszą Matką, przez ks. Wł. F. . . . .	3
2.	Grosz wdowi, wiersz, przez Józefa Grajnerta . . . . .	7
3.	Żywot Zbawiciela świata, przez Sługę Bożego. . . . .	12
4.	Dzieje illustrowane klasztoru Jasnogórskiego . . . . .	19
5.	Księga cudów, doznanych za sprawą Najświętszej Pani Częstochowskiej . . . . .	26
6.	Święci Patronowie i Patronki, opowieści religijne, zebrane przez Michała Synoradzkiego . . . . .	29
7.	Dawne nasze klasztory i świątynie. . . . .	36
8.	Drogą Świętych Męczenników wśród pogan (z ilustracyami) . . . . .	41
9.	Ślawni dostojnicy Kościoła . . . . .	59
10.	Żona Cezara, powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa, przez Stefana Gębarskiego . . . . .	65
11.	Historia illustrowana Kościoła Świętego Rzymsko-katolickiego w obrazach i życiorysach . . . . .	73
12.	Wolność wiary . . . . .	79
13.	Pamiętka po Pięciu Braciach Męczennikach w Bieniszewie i Kazimierzu Biskupim . . . . .	86
14.	Nowiny z Częstochowy: J. E. ks. biskup Kujawsko-Kaliski, Stanisław Zdzitowiecki.—Ks. Sermas, kapłan haldejski, na Ja- snej-Górze w Częstochowie. — Kompania z Lublina. — Kompa- nia z Włoszczowy. — Ofiary. . . . .	94
15.	Nowiny z daleka i z bliska: Jubileusz 25-letniej pracy ka- płańskiej ks. Józefa Zalewskiego. — J. E. Arcybiskup Symon w Ameryce. — Z Mandżuryi. — Przeciwno alkoholowi. — Z Wołynia. — Do redakcyi „Dzwonka Dżęstochowskiego”. . . . .	100
16.	Bóg tak chce! . . . . .	110

17. Książki nadesłane do Redakcyi . . . . .	113
18. Od Redakcyi . . . . .	114

## ILLUSTRACYE:

1. Matko zbawienia, źródło światłości, Pani i Królowa nasza! . .	1
2. Chrystus Pan naucza . . . . .	15
3. Chrystus Pan przywraca wzrok ślepemu . . . . .	17
4. Dwie wieże i mur ochronny ruin zamku w Czersku, od strony Wisły . . . . .	37
5. Wieża, mur ochronny oraz ściany zewnętrzne ruin zamku w Czersku . . . . .	39
6. Azja. Tonkin. Kościół katedralny w Haiphong . . . . .	43
7. Azja. Tonkin. Dom mieszkalny w stylu chińskim, zamieszkiwany przez chrześcijan . . . . .	45
8. Azja. Tonkin. Kobiety chrześcijanki, trudniące się sprzedażą jedwabiu . . . . .	47
9. Azja. Tonkin. Pałac biskupi w Thai-Bing . . . . .	49
10. Azja. Tonkin. Pagoda chińska w Haiphongu . . . . .	51
11. Azja. Tonkin. Dworzec drogi żelaznej w Haiphong . . . . .	52
12. Azja. Tonkin. Most przez rzekę Hanoi . . . . .	53
13. Chiny. Wikaryusz apostolski w The-Kiang w otoczeniu dygnitarzy chińskich . . . . .	54
14. Chiny. Paweł Zikolao, minister chiński, ochrzczony w r. 1603, a pochodzący ze starożytnej rodziny Mingów . . . . .	55
15. Najdawniejszy widok Lublina z roku 1618 . . . . .	77
16. Rodzina Ziętków ze wsi Pietrzkowa, w powiecie lubelskim . .	81
17. Absyda kościoła Ś-go Stanisława (po-dominikańskim) od strony Podwala, w Lublinie . . . . .	83
18. Klasztor po-Bernardyński w Kazimierzu, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej . . . . .	87
19. Kapliczka pamiątkowa z cudownem źródłem w Kazimierzu, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej . . . . .	90
20. Wnętrze kapliczki pamiątkowej z cudownem źródłem w Kazimierzu, w dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej . . . . .	91
21. Kompania Lubelska pod przewodnictwem ks. Padzińskiego u stóp Jasnej Góry . . . . .	95
22. Ksiądz Sermas, kapłan chaldejski . . . . .	97
23. Ksiądz Jubilat Józef Zalewski, proboszcz z Sułoszowy dyecezyi Kieleckiej . . . . .	101
24. Kompania z Włoszczowy, dyecezyi Kieleckiej u stóp Jasnej Góry	105



**Matka zbawienia, źródło światłości, Pani i Królowa nasza!**





## Bogarodzica naszą Matką.

Naukę Kościoła katolickiego o wstawiennictwie świętych, w różnych czasach zwalczali heretycy, nie wszyscy jednak w równej mierze. Jedni, i tych największa liczba, utrzymywali, że mieszkańcy niebiescy nie wiedzą nic o rzeczach ziemskich i nie troszczą się wcale o to, co się pod słońcem dzieje <sup>1)</sup>. Podług tej nauki, błogosławieni wesoło i przyjemnie żyją w niebie, zapominając o swych bliźnich, o swoich braciach, nie troszcząc się wcale o ciężkie potrzeby tych, których na tej ziemi zostawili. Prośby nasze mąciłyby tylko ono spokojne używanie szczęścia.

Drudzy rozumieli to dobrze, że święci chybaby złymi byli duchami, a aniołowie prawdziwymi demonami, gdyby obojętnie na ten świat patrzyli, i że nie byłoby w ich sercach prawdziwej miłości Bożej, gdyby ta nie zwróciła się ku rozumnym i do miłości także zdolnym stworzeniom, słowem, gdyby ta miłość dla nas nie była czynną.

Nie zaprzeczali więc wprost wszelkiego związku ziemskiego Kościoła z niebieskim, ustępując przed rzeczywistością, przyznawali, że święci modlą się za Kościół w ogólności, szczegółowych jednak potrzeb każdego uciekającego się do nich nie znają i nie są w mocy dla pojedynczych osób wyłączone łaski wypraszać. <sup>2)</sup>

Gdyby te twierdzenia były słuszne, osłabiały nie tylko naszą ufność w pośrednictwo Najświętszej Maryi Panny, ale powstrzymywałyby nas od zanoszenia do Niej jakichkolwiek prośb, a wzywaniu świętych nie miałyby podstawy.

---

<sup>1)</sup> Conf. Gal. or. 24 Symb.

<sup>2)</sup> Bellar. et Beatit. t. I c. 15.

Bogu dzięki, rzecz się ma inaczej. Kościół zawsze przyzywał wstawiennictwa świętych, praktykę tę uważał za słuszną i pożyteczną, gdyż wybrani Pańscy znają nas, świadomi są naszych potrzeb, wysłuchują nasze modły.

Podług powszechnego zdania teologów, każdy z niebian w jasności Boskiej widzi i wie wszystko, co do jego szczęśliwości należy. Widzenie to jest cechą stanu ubłogosławionego, nienajistotniejszą wprawdzie, ale dopełniającą miary szczęścia i chwały.

Zgodnie ze Ś-ym Tomaszem mówimy, że szczęśliwi mieszkańcy nieba posiadają bezpośrednią, aktualną, intecyjną świadomość naszych prośb — a także naszych hołdów, jakie składamy ich zasługom. <sup>1)</sup>

I to wiedzieć mamy, że wszystkie nietylko czyny, ale wszystkie myśli, najskrytsze zamiary wszystkich istot rozumnych, kiedykolwiek żyjących — stoją jawne przed oczyma naszego Zbawiciela, gdyż On jest Nieśmiertelnym Królem czasów, Najwyższym Kapłanem i Sędzią żywych i umarłych. <sup>2)</sup>

Pyta nie jeden, czy ci, których na ziemi łączyły związki krwi lub jedność ducha, odnajdą się w niebie? Czyż może kto wątpić o tem? Przecież tu na ziemi boleśnie nam rozstawać się z ukochanymi — pragniemy jak najprędzej widzieć ich znowu, z radością wracających witamy. Wybrani Boga w Bogu widzieć będą — obdarowani posiadaniem zupełnem Boga, mówi Ś-ty Augustyn. <sup>3)</sup>

I nie są to luźne słowa, mają za sobą świadectwa wyraźne w pismach Ojców Kościoła. Ś-ty Bazyli zaleca dziewicom chrześcijańskim, aby pamiętały, iż wzrok Aniołów i świętych przenika wszędzie. <sup>4)</sup>

Ś-ty Augustyn na uroczystości Ś-go Szczepana tak przemawia do Ś-go Pawła: „W towarzystwie tego, któregoś kamienował, królujesz z Chrystusem, patrzycie na nas — słyszycie mowę naszą — przyczynicie się za nami, aby wysłuchał nas Ten, który obdarzył was koroną chwały.“ <sup>5)</sup>

Pisarz kościelny Julian Pomerus, nieco później żyjący, przyznaje świętym niemniej wszechstronną świadomość. „W niebie niema nic skrytego dla dusz błogosławionych. Oczyszczeni z wszelkiej zmazy nie potrzebują się rumienić, gdyż tam niema grzeszników i już grzechu nie będzie. Czy myślicie, że tylko znają towarzyszków swej szczęśliwo-

<sup>1)</sup> S. Thom. 2, 2 gn. 83 c. 4.

<sup>2)</sup> Ibid. 3 p. g. 10.

<sup>3)</sup> S. Aug. Serm. 343.

<sup>4)</sup> S. Basel. op. 80—729.

<sup>5)</sup> S. Aug. Ser. 376 in sal. S. Step.

ści?...—Nie, bo słuchajcie: *nic nie będzie zakrytego* — to znaczy, iż błogosławieni poznają najgłębsze tajemnice, oglądając Boga samego".<sup>1)</sup>

Cofnijmy się w czasy późniejsze. Oto Orygenes wyraża się z całą jasnością: „Jak cień postępuje za człowiekiem — tak, jeżeli łaska Boża z nami — towarzyszy nam usłużność Aniołów i dusz błogosławionych. Wiedzą oni, kto zasługuje na miłosierdzie Boże... Śmiem nawet twierdzić, że kiedy chcący wejść na lepszą drogę zanoszą o pomoc prośby do Boga — mnogie zastępy świętych wstawiają się za nimi, nawet nie będąc przyzwanymi." <sup>2)</sup>

Święty Grzegorz Nanz. tak przyzywa Ś-go Atanazego: „Obyś wejrzał łaskawem okiem z wysokiego nieba i pokierował tym ludem, prawdziwym czcicielem Przedoskonałej Trójcy Ojca, Syna i Ducha Ś-go".<sup>3)</sup>

Nauka ta natchnęła starożytnych poetów chrześcijańskich do opiewania w utworach swoich: — jako święci męczennicy, słysząc nasze wołania, odnoszą je do tronu Przedwiecznego Króla — wdzięczni za poszanowanie ich resztek ziemskich, łączą swe wstawiennictwo z naszymi błaganiami. Dosyć powołać się na pisma Prudencyusza.

Cóż teraz powiedzieć wypada o Bogarodzicy i naszej Matce? Posiada ona też samą świadomość, ale w stopniu pełniejszym, doskonalszym, niż wszyscy błogosławieni razem wzięci. Jeżeli przywileje szczęśliwości i chwały są różne według zasług i znaczenia, to widoczną jest rzeczą, że tak samo, jako wywyższenie Maryi przenosi chwałę wszystkich świętych, znajomość też Jej i widzenie naszych potrzeb, naszych życzeń, jak i hołdów Jej składanych jest wyższą, doskonalszą. I nie może być inaczej. Przypomnijmy sobie, czym jest dla nas Maryja, tak w porządku łaski, jak i w porządku naszego zbawienia. Wybrana na Matkę Zbawiciela stała się matką wszystkich, krwią Jego odkupionych, których Ojciec Niebieski jest także Ojcem. Pan Jezus, jako Odkupiciel i Zbawca rodzaju ludzkiego, zażywa świadomości wszechwidzenia, jakie jest w Bogu. Najświętsza Maryja Panna, uczestnicząc w dziele odkupienia, czyżby miała być pozbawioną świadomości tego wszystkiego, co się odnosi do wyzwoleńców Jej Syna?..

Wszakże, jako matka nasza, wiedzieć pragnie uczucia, myśli swych dzieci — przewiduje potrzeby — zaradzićby chciała słabościom naszym, ochronić przed niebezpieczeństwami.

Ś-ty Stanisław Kostka na pięć dni przed uroczystością, czyli przed swoją śmiercią, napisał list, powierzając takowy Ś-mu Wawrzyńcowi—

<sup>1)</sup> Jullian. Pomer. De vita contemp. t. 1 c. 4.

<sup>2)</sup> Oryg. C. Cels. 1, 8.

<sup>3)</sup> Gregor. Nanz. Orat. 21.

pragnął, aby go złożył Królowej Nieba. Święty młodzieniaszek wprasa się, aby go wzięła do siebie, jako matka, — oświadcza, że nie może żyć bez Niej. I prośba została wysłuchana.

Ale nauka o świadomości, jaką posiada Marya Panna, nie może opierać się na powadze świadectw, mówiących nam o obcowaniu świętych, powinniśmy przytoczyć dokumenta wyłącznie odnoszące się do Królowej wszystkich świętych. I tych nie brakuje.

Seweryan, biskup Gabalów, współczesny Ś-mu Janowi Złotoustemu, zestawiając Ewę z Maryą, tak mówi: Nieszczęśliwa, ileż utraciła — jakże cierpieć musiała! Maryę wszyscy błogosławioną zowią. I cóż Jej z tego przyjdzie — może powiecie — kiedy tego nie słyszy? Mylicie się — ona słyszy — przebywa w krainie jasności — w królestwie żyjących, jako matka zbawienia, jako źródło światłości — wszystko, co Boskie poznaje, wszystko, co ludzkie odczuwa. <sup>1)</sup>

W 700 lat później, błogosławiony Amedeus z Lozanny — pogrążony w kontemplacji „Najczystszej, Najcichszej Maryi Panny, zasiadającej w królestwie wiecznego światła, na tronie chwały obok Syna, którego nosiła w swem łonie, stawia, mówi przed Stwórcą i w imię zasług nie przestaje przyczyniać się za nami, zanosząc swą przemożną prośbę do Niego... W świecie *wszystko przed Nią widoczne, wszystko odkryte* — widzi wszystkie niebezpieczeństwa, wszystkie nasze potrzeby, a serce Jej przejmuje się współczuciem i litością. Im głębiej patrzy w serce Króla Królów, tem lepiej poznaje dobroć Bożą — i śpieszy z pomocą nieszczęśliwym. <sup>2)</sup>

Uczynić w końcu należy ostrzeżenie, że owa świadomość Maryi nie dotyczy przeglądania woli Boga, ale tych rzeczy, które obchodzą i należą do jej przybranych dzieci. Ilekroć zaś zanoszą prośby i wstawianictwo swe czyni, zawsze z poddaniem się woli Boskiej! Najświętsza Marya Panna naśladuje Syna Swojego przykład, który modląc się w ogrodzie Oliwnym, mówił: „Ojcze, jeśli chcesz, odwróć ode mnie ten kielich. A wszakże nie moja wola, ale twoja niechaj się stanie“

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



<sup>1)</sup> Severian De mundi Officio or 6.

<sup>2)</sup> B Amad. Lor. hom. 8.



## Grosz wdowi.

---

Przed lat tysiącem słońko na niebie  
    Jak dziś tak samo świeciło;  
Tak samo plemię nasze, odwieczne  
    Wspólnie już rośło i żyło  
W polańsko-leśnej pięknej krainie,  
Gdzie Odra, Warta i Wisła płynie.

---

Przed lat tysiącem tak samo wiosna  
    Zielenią kraj ten pokryła,  
Utknęła z liści i kwiatów krosna,  
    W lasach szumiała pieśń miła.  
Wspaniałe były te lasy, bory,  
W nich modrzew, cisy, klony, jawory.

---

Przed lat tysiącem już u nas znikły  
    Pogańskich gontyn powały,  
Nad gościńcami krzyże się wzbiły,  
    Dzwony w kościołach zagrały; .  
Kraków i Gniezno, Poznań, Kruszwica  
Już pieśń nuciły: „Bogarodzica“.

---

Przed lat tysiącem prawie panował  
U nas król wielki, mąż prawy:  
Bolesław Chrobry miał sławne miano;  
Rozsunął kraju dzierzawy,  
Bił Niemców, którzy z nad Elby, Sali  
Na kraj nasz, niby rysie czyhali.

---

Pobożny, wiary świętej krzewiciel  
Poświęcał dla niej swe technienia,  
By w czi był wielki Pan nasz Zbawiciel,  
Chciał dusz swych ludów skrzepienia:  
Więc się oglądał za apostołem,  
Coby z nim wzmacniał tę wiarę społem.

---

Żył w Pradze czeskiej, tuż o granicę,  
Ksiądz biskup Wojciech, mąż święty,  
Do niego prośby wysłał Bolesław,  
By dobrem ludów przejęty,  
Utwierdzał w wierze jego Polany  
I szedł nawracać dalej pogany.

---

Przybył do Gniezna przezacny Wojciech,  
Król go z czią przyjął w swem państwie;  
Stąd poszedł dalej między Prusaki,  
Co jeszcze żyli w pogaństwie,  
Wziął z sobą kilku pobożnych, którzy  
Chętnie dzielili z nim trud podróży.

---

Właśnie gdy wiosna brysnęła piękna  
Z modrego nieba nad światem,  
Pokryła lasy, łąki i pola  
Zielenią, złotem, bławatem,  
Wszedł święty Wojciech ze swym orszakiem  
W kraj pruski leśnym i dzikim szlakiem.

---

Gorliwość jego już nawróciła  
    Tłumy pohańców do Boga,  
Za co w pogańskich sercach kapłanów  
    Nienawiść wzrosła dlań wroga;  
Krywe-Krywejto, ofiarnik srogi,  
Śmierć mu zaprzysiągł na swoje bogi!

---

Był gaj dębowy na pruskiej ziemi,  
    Romowe zwany od wieka;  
Tam bożek Perkun miał swą świątynię,  
    A lud się modlił z daleka:  
Bo w tę zagajną dębów świątynię  
Krywe Krywejto wejść mógł jedynie.

---

Znużony drogą, pracą gorliwą  
    W tej apostolskiej wyprawie,  
Legł święty Wojciech ze swą drużyną  
    Wśród cichych gajów na trawie,  
By znów nazajutrz pracować dalej,  
Iść z krzyżem aż hen! ku morskiej fali.

---

Gdy tak spoczywał pod konarami  
    Dębu, co świętym był zwany,  
Miał we śnie nocnym cudne widzenie:  
    Anioł się zjawił świetlany,  
I spytał: żali za świętą wiarę  
Gotów jest ponieść z życia ofiarę?

---

— „Ach! jestem gotów oddać me życie,  
    Niech ono wiarę pomnoży“,  
Mówił mąż święty: — „Więc bądź gotowy!“  
    Na to mu Anioł rzekł Boży.  
Nazajutrz rano skrucą przejęty  
Ostatnią Mszę już odprawiał Święty.

---

Gdy ją odprawił w gaju Romowe,  
Kapłan Krywejto w toż rano  
Wpadł z siepaczami i pierwszy utkwiał  
Dzi ryt w pierś świętą, krwią zlaną.  
Orszak puścili, by już zdaleka  
Głosił: co tutaj chrześcijan czeka.

---

Król Chrobry rzewnie zalał się łzami,  
Gdy powziął wiadomość o tem,  
Wysłał natychmiast oddział rycerzy  
Do kraju Prusów ze złotem,  
By wykupili męczeńskie ciało,  
Co odtąd w Gnieźnie spoczywać miało.

---

Poszli posłowie wykupić zwłoki,  
Gwoli ostatniej posługi,  
Kładą Prusacy ciało na szali,  
Polacy złoto — na drugiej;  
Lecz jeszcze złota było za mało,  
By zaważyło tyle, co ciało.

---

Drużyna więcej nie ma pieniędzy,  
Nie wie, co począć stroskana;  
Gdy w tem nadchodzi wdowa uboga,  
Zjednana przez chrzest dla Pana  
I swój pieniążek na wagę składa  
Ostatni, jaki jeszcze posiada.

---

I naraz ciało poszło do góry,  
Szła na dół z pieniędzmi szala.  
Drużyna polska zwłoki zabrała,  
Już Gniezno ujrzała zdala, —  
Przynosi trumnę, głosi królowi:  
Jaką tam wagę miał grosik wdowi!

---



Przed lat tysiącem słońko na niebie  
Jak dziś tak samo świeciło;  
Tak samo plemię odwieczne, nasze  
Wspólnie już rosło i żyło  
W polańsko-leśnej, pięknej krainie,  
Gdzie Warta, Odra i Wisła płynie.

*Józef Grajner*





## ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

# Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świątych opowiedziany  
przez Sługę Bożego.

Niema ludzi bardziej zapalczywych, mściwych, nieubłaganych, nad tego rodzaju obserwatorów religijnych. Człowiek, miłujący Boga szczerze, oddający Mu cześć w prawdzie, jest cichym i łagodnym; ale kto miłuje siebie, płaszczem religii okrywając samolubstwo swoje, ten zawsze będzie zawziętym, cierpkim i gwałtownym. Szczera, prawdziwa pobożność jest przenikniona słodyczą; natomiast fałszywa technie obłudą i złością. Saduceusze i faryzeusze, to jest znaczniejsi członkowie władz żydowskich, w dziwny sposób przekręcili i skazili Zakon Mojżesza, a skażenie to, zaślepiając i poniżając ich, musiało też zamknąć ich serca dla prawdy, wznieciło w nich taki wstręt, taką zapamiętałą zawziętość przeciwko Jezusowi, że wszystka Jego miłość i cierpliwość przełamać jej nie mogły.

Faryzeusze tedy oskarżyli Jezusa o pogwałcenie szabatu. Nie wiemy dokładnie, czy to było oskarżenie sądowe, to jest — czy Jezus był pociągany przed trybunał, sądzący przestępstwa religijne. Może wystąpienie Sanhedrynu tak daleko się nie posunęło? Może tylko ta Wysoka Rada kapłanów upomniała Jezusa o lekceważenie Zakonu? W każdym razie jednak główną rzeczą tu była odpowiedź Jezusa, nad nią też

się zastanawiają pisarze kościelni, rozpatrując ją w tym kształcie, w ja kim przekazaną została przez czwartą Ewangelię. Odpowiedź ta była dla Jezusa dostarczoną przez Opatrzność sposobnością, która mu pozwoliła jasno, uroczyście oznajmić Sanhedrynowi kim jest, na czym się gruntuje religijne dzieło Jego, wykazać prawo niezaprzeczone ogłaszania nowej nauki: nauki zbawienia.

Zarzut, uczyniony Jezusowi, nie miał podstawy w Zakonie Mojżesza. Za pozór do niego służyć mogły jedynie ustawy samowolne, śmieszne, nierozsądne, jakimi doktorowie i rzekomo biegli w Piśmie Zakon obciążali. Ale właśnie te nierozsądne, ciasne, samowolne przepisy miały w ich oczach większą doniosłość, niż sam Zakon; w błędnem kole marnych drobiazgów się gubiąc, tracili z oczu treść, istotę rzeczy; myśli swoje, mizerne i płaskie, stawiali na miejsce Słowa Bożego. Zasłепieni martwą literą, obcy duchowi, nie wnikali w znaczenie tego Słowa, tłumili je, zacierali. Jeden z tych dziwacznych, śmiesznych przepisów, stosujących się do zarzucanego Jezusowi przestępstwa, zabraniał przenoszenia z miejsca na miejsce jakiegobądź, choćby najmniejszej, rzeczy w dzień szabatu, z wyjątkiem jedynie nagłej konieczności.

Jezus, usprawiedliwiając się z czynionego Mu zarzutu, nie zniża się jeszcze do wykazania oskarżycielom bezzasadności, nicości ich zwyczajów i przepisów. On ma za Sobą prawo wyższe, więc na wykrętne subtelności faryzejskie nie powołuje się na Zakon Mojżesza w pierwotnej jego czystości, nie broni się przyrodzoną człowieka wolnością czynienia dobrze, wolnością, której żadne postanowienia ludzkie nie mogą przecież skępować, nie rozprawia: natomiast twierdzi, powołując się, na prawo Boga Samego, jako na Swoje własne, na przykład Ojca Swego, w pełnej świadomości Boskiego Synostwa Swego mówi:

— Ojciec mój aż dotąd działa i ja działam.

Co to znaczy?

To znaczy, że Bóg nie zna odpoczynku, jest czynem samym. Moc Jego nigdy nie ustaje i jako Jego działaniem wszystkie rzeczy trwają, istnieją, tak też Jego działaniem wszystkie rzeczy żyją, poruszają się. Ustanie tego działania byłoby zniweczeniem wszystkiego stworzenia, bo „mocą Słowa Swego, wiecznie brzmiącego, On Sam nosi wszystko stworzenie, karmi, rozwija i pożądanem dyszące napowrót do Siebie pociąga.”

Człowiek, działając wedle wolnej woli swojej, rządzi się sumieniem i niepewnym rozumem swoim, który mu dyktuje prawidła i kodeksy. Jezus, w całym życiu Swojem, rządzi się tylko wolą i przykładem Ojca Swego. Widzi Go i słyszy. Czyny człowieczeństwa Jego są jedynie wypełnieniem onej woli najwyższej, są naśladowaniem wiekuistego onego przykładu. Czego Ojciec chce, tego chce również On; co czyni Ojciec i On również czyni. Ponieważ żadna potęga ludz-



ka nie jest zdolna zachwiać władzy Boga, więc też i żadna nie może zachwiać władzy Jego, Syna Bożego. On posiada prawo działania na równi z Ojcem. Ojciec działa nieustannie dla zbawienia ludzkości. Działanie to jest niewzruszenie trwałe, niepożyte, podobnie jak miłość Jego dla ludzi, nie zatrzymuje się ono nigdy, nie zna wytchnienia.

— Ja też działałam, jak Ojciec i z Ojcem w tem dziele Jego — mówi Jezus.

Skoro tak jest, więc czy szabat posiada możność rozerwać to zjednoczenie wszystkiego stworzenia u Boga?

Ta odpowiedź Jezusa świadczyła wyraźnie i stanowczo o Boskości posłannictwa Jego, o Jego Mesyańskiej godności. Są to dwie prawdy, zawierające streszczenie całej Ewangelii, stanowiące fundament dzieła Mistrza. Wynikają one z każdego słowa Jezusa, objaśniają i całe Jego życie, objaśniają wszystkie przeciwieństwa, nienawiść i zjadłość, jakie On przeciwko Sobie wznieca, objaśniają mękę i śmierć Jego, wreszcie objaśniają ten wpływ cudowny, jaki wywarł szczególnie po śmierci.

A doktorowie żydowscy i przełożeni synagogi nie chcieli uznać tych prawd, przeczyli im z dziwną zawziętością. Zapominając o jednomyślnej nauce wszystkich Proroków, odrzucając najwyższe zasady objawienia Mojżesza, pograżeni w sprawach obrzędowych Zakonu, zaślepieni narodowymi i politycznymi przesądami, usuwając Boga gdzieś daleko, zamykając Go w fałszywie przez nich rozumianej tajemnicy jedności Jego, — Żydzi tak się w przeważnej większości zachowując, nigdy nie chcieli uznać najważniejszego, podstawowego przywileju Osoby Mesyasza, chociaż przez uznanie tego przywileju mogli zrozumieć jedynie godność i zadanie Jego.

Przyznawali Mu wszelkie inne prawa i przywileje, więc: Sąd Ostateczny, zbawienie i odrodzenie rodzaju ludzkiego, ustanowienie Królestwa Bożego, zwycięstwo wszystkich nieprzyjaciół, wieczne zasiadanie po prawicy Boga, wieczne w potędze i chwale Bożej uczestnictwo: ale z uporem kamiennym zaprzeczali Mu Bóstwa i w modlitwach swoich codziennych powtarzali: „Słuchaj, Izraelu — Jehowa, Bóg twój, jeden jest,” słowa zaś te rozumieli w znaczeniu literalnem, wyłączajacem możność prawdziwego w Bogu Synowstwa.

Były prawdopodobnie wyjątki — byli pomiędzy Żydami nauczyciele, którzy nie ulegli takiemu zaślepieniu co do przywilejów Mesyasza, którzy pomiędzy świętą jednością Jehowy a Bóstwem Mesyasza nie widzieli sprzeczności, bo przecież samo świadectwo Jana Chrzciciela o Boskiem Synowstwie Chrystusa nie mogło pozostać bez wpływu. Lecz, powtarzamy, były to tylko wyjątki. Tymczasem Jezus, jako Mesyas, jedynie tytułu Syna Bożego się domagał; lecz taka była zakamienialość przesądów owych uczonych, kapłanów, przełożonych, że gorszyli się,



oburzali do najwyższego stopnia, gdy Sobie ten przywilej przyznawał; że przez to ściągał na Osobę Swoją wszystkie gromy ich fanatycznego zaślepienia.

Wszelako Jezus nie wejdzie z upornymi w układy — jasno, bez ogródek da świadectwo o godności Swojej. Ilekroć spotka się z przedstawicielami władzy i nauki, z kapłanami i lektorami, będzie się zwracał do nich bez przypowieści, tak wyraźnie, że słów Jego nie osłoni żaden cień. Nawet nie będzie czekał na sposobność, lecz Sám ją wywoła. I w tym razie, ponieważ czynili Mu zarzuty o niezachowanie,



Chrystus Pan naucza.

według pojęć faryzejskich, szabatu, objawia Boskie Swoje Synostwo, oznajmia, iż równym jest Bogu.

Pierwsze to w życiu Jego, tak uroczyste i jawne oznajmienie tej prawdy. Słyszając je, wysłańcy Sanhedrynu wołają z oburzeniem:

— Nietylko gwałci szabat, ale też Boga powiada być Ojcem Swoim, czyniąc się równym Bogu!

Odtąd Jezus w ich oczach był bluźniercą, zasługującym na śmierć i niewątpliwie słyszał dokoła siebie groźne pomruki, zwiastujące Mu zagładę. Lecz mimo to bez obawy stawiał czoło zaślepionej nienawiści,

bo wola Ojca była dla Niego wszystkim. Przecież dlatego tylko przyszedł na świat, żeby dać świadectwo prawdzie. Więc na szemrania, oburzenia i groźby Żydów odpowiadał więcej jeszcze uroczyście, więcej stanowczo; z większą dobitnością mówi o Swojej z Bogiem równości, więcej wyraźnie zaznacza, że wzorem i prawem przewodniem czynów Jego jest nie żadna istota stworzona, lecz Bóg, lecz działanie Ojca Jego:

— Zaprawdę, zaprawdę mówię wam, nie może Syn sam od siebie nic czynić, jedno co ujrzy Ojca czyniącego; albowiem cokolwiek On czyni, to i Syn także czyni. Człowiek bowiem nie widzi Boga i nie może sam z siebie tak wysoko się wznieść, aby z Boga wzór czerpać dla życia swego. Lecz Ojciec miłuje Syna, a Duch zespała Ich węzłem jedności najdoskonalszej, przeto Ojciec ukazuje Synowi wszystko, co sam czyni. Spólna jest pomiędzy Nimi światłość, spólna moc nieskończona; najdoskonalsza pomiędzy Nimi równość i jedność. Taka jest tajemnica natury i godności Mesjasza. Wielkie już rzeczy Syn z Ojcem Swoim przed wami uczynił, ale tego niedosyć. Większe nad te Ojciec Synowi uczynki okaże, abyście się wy dziwowali.

Jezus w ten sposób objawił zbawcze posłannictwo Swoje, zarazem objawił i stwierdził Boskich rzeczy porządek. Mówił o tem nie jako o sprawach nadprzyrodzonych, wyższych nad pojęcie ludzkie, gdyż tak przemawiałby nauczyciel ziemski, lecz jako o sprawach najdoskonalej sobie wiadomych: świadczył o tem, co widzi i co jest.

Mówił następnie:

— Albowiem jak Ojciec wzbudza umarłe i ożywia, tak i Syn, które chce ożywia. Bo Ojciec nikogo nie sądzi, lecz wszystek sąd dał Synowi; dał Mu moc i władzę, aby tam gromadził Sobie wybranych Swoich, powołując ich wedle woli Swojej, przyjmując jednego a pomijając innego; aby Sam, o ile jest Synem człowieczym, czynił ten wałny wybór i sąd, ten wielki podział człowieczeństwa. Chce Ojciec, iżby wszyscy czcili Syna, jak czczą Jego, więc kto nie czci Syna, nie czci też Ojca, który Go posłał. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iż kto słowa mego słucha, a wierzy Onemu, który mnie posłał, ten ma żywot wieczny, ten nie przyjdzie na sąd, nie będzie odrzucony w tym wyborze, w tem szeregowaniu, które Syn Boską Swoją władzę czyni w człowieczeństwie, bo ten przeszedł ze śmierci do żywota.

Przeto warunkiem, pod którym Syn człowieczy wzbudza umarłych i wybiera ich do żywota wiecznego, jest wierzyć Ojcu, który posłał Syna i słowa Syna słuchać. Tą drogą idąc, człowiek nie przyjdzie na sąd, ale ze śmierci przejdzie do żywota.

(D. c. n.)

## ŻYWOT PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSTUSA



Chrystus Pan przywraca wzrok ślepemu.





**Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,**  
**KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE**  
przez  
**CZCICIELA MARYI.**

**Część druga:**

**KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI**

Trzeba wiedzieć, że cudowna obrona Jasnej-Góry, dźwigając naród z przygnębienia i do walki z wrogiem go zagrzewając, wywołała także mnóstwo pojedynczych zwycięstw, które ostatecznie uratowały od zagłady Rzeczpospolitą. Do takich powodzeń należało pochwycenie załogi szwedzkiej w Wieluniu przez Krzysztofa Żegockiego, starostę babimońskiego i Stanisława Kuleszę, którzy wpadłszy do Wielunia niespodzianie, 200 Szwedów trupem położyli, a następnie, unikając zemsty nieprzyjaciół, ze szczupłemi siłami swemi schronili się pod wały Jasnej-Góry. O tem właśnie pisał Sadowski.

Zaledwie przeor list odczytał, ukazał się od strony północnej oddział szwedzki, 500 konnych liczący, a w tej właśnie chwili wysunął się też z lasów podjazd polski, z 30 tylko ludzi złożony, który Żegocki pod Kłobucko na zwiady wysłał. Oddział ten, wywiódłszy Szwedów w pole, tak ich zręcznie pod ogień twierdzy naprowadził, że za jednym wystrzałem działa północnego bastyonu, Szwedzi, straciwszy kilkunastu ludzi i koni, porzucili dla ulżenia sobie tłumoki i poszli w rozsypkę, a z przestachu wieść fałszywą puścili, jakoby pod Jasną Górą znaczne siły polskie się zgromadziły. Uwierzył Miller fałszywym zapewnieniom, poniechał

zamiaru nowej próby owładnięcia klasztorem i natychmiast do Wielunia pospiesznie z wojskiem się cofnął.

Natomiast Weyhard Wrzeszczewicz, jak pierwszy zaczął napad na Jasną Górę, jak miał najwięcej tem obleżeniem sumienie obciążone, tak też sam chciał jeszcze dopiąć swego, sam chciał zakończyć dzieło pamiętne w jego nędznem, awanturniczem życiu. Zebrawszy tedy 2 tysiące żołnierza, po licznych zamkach okolicznych załogą stojącego, a mianowicie: z Krzepic, Wielunia, Sieradza, Piotrkowa, Pilicy i Ogrodzieńca, podstąpił nagle w same ostatki pod wieś Częstochówkę, chcąc zagarnąć stojący tam oddział Kuleszy. Lecz Kulesza, ostrzeżony przez czaty o zbliżaniu się nieprzyjaciela, nie mogąc się z nim mierzyć ze szczupłemi siłami swemi, schronił się spiesznie pod działa jasnogórskie, których wystrzały bez trudności odparły napastnika. Szwedzi zabrali jednego Polaka w niewolę i 40 koni uprowadzili.

Nie skwitował wszakże Weyhard z pokuszenia. W tygodni kilka, 9 kwietnia, o pierwszej godzinie po południu, zjawił się w 1,600 koni pod Częstochową i stanąwszy przy błotach, wysłał 8 chorągwi ku Jasnej-Górze, mając zamiar wpaść do klasztoru niespodzianie. Wysunęło się naprzeciw niemu 300 jazdy polskiej, która widząc, że Szwedzi w półkole rozsuwać się zaczęli, żeby ją otoczyć, pośpieszyła opanować wzgórek i stamtąd dopiero rzuciła się na nieprzyjaciela. Rozbitych zupełnie Szwedów ratowało bagniste położenie miejscowości, uniemożliwiające pościg Polakom. Strata dwóch wodzów, którzy z rąk Piotra Czarnieckiego polegli, tak zmieszała nieprzyjaciela, że straciwszy 30 zabitych, ustąpił z pod Częstochowy.

Kordecki szczegółowiej tę potyczkę opisuje, mianowicie:

Naprzeciw Szwedom wyszło śmiało 300 Polaków, lecz widząc, że prawe skrzydło szwedzkie spiesznie się ku nim posuwa, a reszta Szwedów, w półksiężyc się uszykowawszy, otoczyć ich usiłuje, zaczęli zwolna ustępować, żeby zająć wzgórek na prawem swoim skrzydle, przeciwnie lewemu skrzydłu nieprzyjaciela. Następnie, przy zachęcających okrzykach stojącej na murach załogi klasztornej, rzucili się odważnie na Szwedów, lecz bagnistość miejsca wstrzymała ich od dalszego pościgu i stoczenia walnej bitwy. Poprzestano więc na urywaniu Szweda podjazdami, któremi tak mocno go trapił, iż ustępując, 30 ludzi i kilku starszyzny stracił. Z Polaków zaś dwóch tylko brakowało, których konie w błocie ugrzęzły. Pomiedzy wielu innymi odznaczył się szczególnie męstwem w tych utarczkach pan Piotr Czarniecki. Położył trupem dwóch najdzielniejszych Szwedów, z których jednego, olbrzymiej postawy, przodem biegnącego i ze swoimi hufcami śmiało na naszych uderzającego, włócznią dotarł i z konia zrzucił; drugiemu zaś, pędząc

do niego na koniu, kulą udo przestrzelił. Nazajutrz ten major ducha wyzionął.

Całe oblężenie Jasnej-Góry zakończyło się haniebnym zgonem one-go nędznika Weyharda, który ze służby Rzeczypospolitej, z gorliwego czciciela Panienki Częstochowskiej, z przyjaciela Ojców Paulinów jasnogórskich, stał się, dla własnego interesu, za innym powiewem wiatru, wiarołomcą, krzywoprzysięzcą, odstępcą własnej wiary, zdrajcą przybranej ojczyzny, wrogiem Maryi i świętobliwych zakonników. Weyhard przeto, tego jeszcze roku, gdy szczęście odstało Karola Gustawa, tułając się po Wielkopolsce od granic Śląska, rabując kościoły i domy obywatelskie, stanął raz we wsi Lubarze. Dowiedziawszy się o tem, Grudziński, wojewoda kaliski, wpadł na niego w nocy, ze zgromadzoną pod jego znakami szlachtą, całą zgrają łupieżców rozbił do szczętu. Weyhard ukrył się w słomie, lecz go stamtąd wyciągnęli wieśniacy i kija mi na śmierć zatłukli.

Wkrótce po oblężeniu Jasna Góra otrzymała nazwę Góry Zwycięstwa, a powód tego Kordecki tak wyłuszcza:

Po burzliwych czasach i zniesieniu oblężenia Jasnej-Góry, przyświecać zaczęła, jakby wschodząca jutrzeńka, nadzieja zwycięstwa, które proroczym duchem w kościele katedralnym krakowskim Piotr Gębicki, biskup krakowski a książę siewierski, przepowiedział, a które za sprawą Bogarodzicy dokonać się miało. Nie było to bowiem próżną wróżbą, co zakonnicy w rubryceli, dla dyecezyi krakowskiej przepisanej, znaleźli, że Wielkanoc tego roku nazwano, wbrew zwyczajowi: niedzielą Zmartwychwstania i Zwycięstwa. Chociaż bowiem wszyscy wierzą, że Chrystus Pan, jako zwycięzca śmierci i szatana, zmartwychwstał, przecież nigdy nie dodawano do nazwy niedzieli Wielkanocnej wyrazu tego drugiego (to jest — niedziela Zwycięstwa), więc ta okoliczność słusznie wprawiła w podziw nie tylko Ojców Paulinów jasnogórskich, ale także dostojnych arcykapłanów: Andrzeja hrabiego z Leszna, arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa Królestwa Polskiego i Jana Tarnowskiego, arcybiskupa lwowskiego, opata mogińskiego; jako też biskupów: Floryana, księcia na Kiewanui, Czartoryskiego, biskupa wladysławskiego i pomorskiego, oraz Jana Stefana Wydzę, biskupa łuckiego. Dostojnicy rzeczeni zastanawiali się pilnie, co osobliwego w tym dniu wypadło, aby pozwalało w zawichrzonym stanie ojczyzny rokować i głosić zwycięstwo? Nareszcie przypomnieli sobie w dyecezyi krakowskiej święty obraz Jasnogórskiej Dziewicy, który z powodu grożącego od Szwedów niebezpieczeństwa, w pewniejsze miejsce był złożony, a dnia tego do swego ołtarza napowrót złożonym został. Chrystus zmartwychwstały przyniósł nam z chwalebego grobu zwycięstwo, więc z Nim tryumfującym przywrócony na miejsce swoje obraz Bogarodzicy ożywia



nas pewną nadzieją, że pokój wkrótce nastąpi. Z tej racji, gdy wymienieni pasterze, z Jej Królewską Mością, w dniu 2 lipca na Jasną Górę przybyli, celem obchodzenia uroczystości Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, postanowili, aby Jasna-Góra odtąd Górą Zwycięstwa się nazywała.

W powieści Michała Synoradzkiego „Hetmani“ mamy opis wspomnianej pobieżnie tylko przez Kordeckiego ceremonii powrotu cudownego wizerunku na Jasną-Górę, poprzedzony opisem wrażenia, jakie w kraju wywołała cudowna obrona klasztoru. Niektóre ustępy z tych opisów przytaczamy:

Podwójną radość miała Rzeczpospolita w końcu roku 1655 — jednocześnie z rocznicą narodzin Zbawiciela, przypadło jej cieszyć się świtem nadziei zrzucenia jarzma szwedzkiego. Przeor Kordecki okazał się prorokiem: hasło odrodzenia się ducha narodu wyszło z Jasnej-Góry; z tego miejsca, rozławionego łaskami Bogarodzicy, spłynęła na naród moc, spłynęło opamiętanie się i obowiązku pocucie. A sprawczynią dzieła wiekopomnego stała się wiara. Przez nią Polska w rządzie państw europejskich się znalazła, przez nią potęgę osiągnęła, — przez nią teraz z upadku powstawała. Wśród omdłego z rozpaczyny narodu zjawił się hetman w sukni zakonnej i ukazując mu godło Zbawienia, wołał, jak ongi Konstantyn:

— Pod tym znakiem zwycięstwo!

Prorocstwo swoje czynem poparł, ocalając z mizerną garścią Jasną Górę od wielu tysięcy szwedzkich, a przykład bohaterski skuteczną stał się pobudką. Wnet obok hetmana wiary, znalazł się hetman miecza; pan Stefan Czarniecki ruszył resztę wojska swego ze stanowisk, pociągnął w Bełzkie, porozumiał się z chorągwiami kwarcianemi i oto w Tyśzowcach zawiązała się konfederacya, na której czele stanęli obydwaj hetmani koronni i rada, z posłów województw utworzona. Konfederacya wezwwała wszystkich obywateli, pod czcią i wiarą, do obrony ojczyzny. Rozpoczął się ruch zbawczy. Jan Kazimierz opuścił Śląsk, dostał się szczęśliwie do kraju. Wszędzie po drodze garnęła się do niego szlachta, garnął się lud, pobudzany przez kapłanów. Zabrano się do Szwedów dziarsko i sprawiono im odwet krwawy, gdzie się tylko dało. Czarniecki wciąż hetmanił w tej sprawie, cudów zaiste waleczności dokazując.

Bramy Jasnej-Góry znów stanęły dla wszystkich otworem, zewsząd też dążyły na miejsce, świetnem zwycięstwem ukoronowane, tłumy szlachty oraz ludu pospolitego, każdy bowiem chciał oczyma własnemi przekonać się o nowej łasce Pani Anielskiej, otuchy zaczerpnąć od Jej wybrańca, przeora Kordeckiego. Nie zapomniano przytem o ofiarach. Wiedzano, że Szwed po barbarzyńsku z włościami klasztorunami się obszedł i że sam klasztor, po sześciotygodniowem oblężeniu, potrzebuje



zasiłków. Więc ciągnęły ku Częstochowie wozy ładowne zbożem, sianiem i innemi zapasami, pędzono bydło, inwentarz wszelki. Tu przykładem świecili: Andrzej graf Celary, pan na Lublińcu i Radziątkowie; bracia Warszycy — Stanisław, kasztelan krakowski i Paweł, wojewoda oraz generał wojsk mazowieckich; dalej pan Krzysztof Żegocki, gubernator babimojski, pan Sebastian Bogdański, pan Stefan Jackowski i inni... Oni to najpierwsi ze wspomóżeniem klasztoru pospieszili.

Kordeckiego nie upoiło zwycięstwo, natomiast szczerze go radował widok skutków onego, ów zwrot umysłów, ducha podniesienie, owa gorliwość, z jaką kraj się kwapił ku naprawieniu błędów swoich. Gdy mu winszowano tryumfu, na hołdy i uwielbienia, jakimi go zewsząd zarzucano, odpowiadał z godnością:

— Nie moje to dzieło, nie moja zasługa. Najświętsza Panna utrzymała mnie przy zachowaniu nieskażonej wiary Bogu, ojczyźnie i królowi jegomości.

W sam dzień Nowego roku zjawił się najniespodziewaniej w klasztorze pan Stefan Czarniecki. Przyjechał bez parady, w kilkanaście koni, również z gratulacją dla przeora, a także, iżby dać upust pobożności swojej i w kaplicy cudownego wizerunku, Bogarodzicy oręż swój polecić. Oczywiście, że takiego gościa podejmowano z zapalem, chociaż się od wszelkich aplauzów wymawiał. Grzmiały tedy na wiwat działa i moździerze, wygrywała kapela marsze i inne kuranty, palono świetne fajerwerki i ognie barwne.

— Ucieknę! Jak mi Bóg miły, ucieknę! — wymawiał się zawsze skromny p. Czarniecki — wstyd mi one owacye przynoszą. Nie mnie się one przecież należą, jeno wam, księżu przeorze wielebny, i pod rozkazami waszemi zostającym walecznym. Ja co? Uległem Szwedowi, i w Siewierzu, niby mysz pod miotłą, siedziałem tyli czas.

— Wolne żarty, jaśnie wielmożny kasztelanie — odpowiedział Kordecki. — Nie uległeś Szwedowi, ale mądrej przezorności słuchając, uległeś nieprzyjaznym okolicznościom, z zamiarem chwili sposobnej wyczekiwania. Jakoż nadeszła ta chwila i oto gromisz wroga, nowe laury do dawnego wieńca chwały zbierając. Myśmy tu również dopełnili obowiązku, z wyraźną jednak pomocą Paniarki Najświętszej. Wszelako jeśli Jasna Góra tryumf nad Szwedem odniosła, to część zasługi na jaśnie wielmożnego kasztelana również spada. Przecież raczyłeś nam jaśnie wielmożny pan przysłać czterech towarzyszy pancernych, którzy się kunsztu żołnierskiego w twojej szkole przesławnej uczyli, a którzy niewymownie dzielnie okazali się dla nas podczas oblężenia wsparciem — sukces zaś uczniów, zawsze także ich mistrzowi, wedle sprawiedliwości, przypisować należy.

O ile pan kasztelan kijowski na wszelkie chwalby, jego osoby tyjące, boczył się i zżywał, o tyle rad słuchał, gdy dobre o jego żołnierzach dawano świadectwo. Więc brody pogładził i odparł z zadowoleniem:

— Juścim się tego spodziewał, że panowie towarzysze wstydu mi nie przyniosą. Ano, zakarbuję sobie w pamięci, jako ordynanse moje wiernie spełnili. Nagrodę mają w sumieniu swoim, w zasłudze dla Najświętszej Panny i ojczyzny, wszelako godzi się, żeby inszą jeszcze dla nich obmyśleć, w czym już moja głowa.

W początkach kwietnia pan Stefan Czarniecki znów Jasną-Górę odwiedził, a tak się złożyło, że właśnie tego samego dnia ks. Kordecki oczekiwiał na powrót wizerunku cudownego z Lublińca. Ucieszył się z fortunnego zbiegu rzeczy pan kasztelan, rzekł do przeora:

— Bogu niech będą dzięki, żem się w chwili takiej tu znalazł; za łaskę Panny Najświętszej poczytuję, iż będę mógł asystę przy tryumfalnym powrocie Jej cudownego konterfektu trzymać. Prowadzę ze sobą, jakby umyślnie, kilka grzecznych chorągiewek, tedy Królowa Anielska będzie miała oraz honory rycerskie, które, według mego rozumienia, wdzięcznie przyjąć raczy.

— Niewątpliwie, jaśnie wielmożny kasztelanie — potwierdził przeor. — Miłuje Pani Anielska rycerstwo polskie, bo ono zawdy o chwale Bożej pamięta, a zanim miecza dobędzie, Jej imienia ku pomocy wzywa pieśnią Ś-go Wojciecha,—tedy hołd wiernych Jej niezmiennie czcicieli i wyznawców przyjmie chętnie i nie ostawi go bez nagrody, która w zwycięstwach oręża polskiego się wyrazi.

— A rychłoż przybycie wizerunku spodziewane? — zagadnął Czarniecki.

— Miarkuję, że o południu nastąpi.

— To czas najwyższy żołnierzyków sprawić, iżby w pogotowiu byli. Dysponuj zatem, wasza wielbność, jak oną asystę urządzić...

Przeor niedługo się namyslał. Zadecydował, że najwłaściwiej będzie, gdy pan kasztelan przy kościółku Ś-go Jakóba z wojskiem swoim się ustawi i stamtąd, doczekawszy się procesyi, wizerunkowi cudownemu na Jasną-Górę towarzyszyć będzie. Niezwłocznie też zakrzętał się Czarniecki około przygotowań po temu.

O południu, wartownik z wieży kościelnej znak otrąbił, iż zbliżenie się kompanii z wizerunkiem cudownym postrzegł. Przeor, który na to hasło czekał, z wszystkimi zakonnikami, z kapelą klasztorną i chorągwiami, naprzeciwko podążył. Spotkanie nastąpiło w połowie drogi od kościoła Ś-go Jakóba do klasztoru. Gdy rydwan ze skarbem Jasnej-Góry, bogatemi kobiercami wysłany, sześciorgiem białej zupełnie maści

zaprzężony koni, znalazł się w odpowiedniej odległości, zakonnicy na kolana upadli, intonując:

„O, Maryo! o, Królowo! Z Tobą nikt nie stanie równo, przy tro-  
nie Boskim z prośbami, Ty się zawsze módl za nami.”

Po odśpiewaniu hymnu, zdjęli wizerunek z rydwanu, umieścili go na noszach ręcznych, materyą jedwabną, złotem i srebrem dzierzganą, oraz gierlandami zieloności wczesnej przystrojonych, które ujęli z przodu: Ojciec prowincyał Bronowski i przeor Kordecki, a z tyłu: pan kasztelan Czarniecki oraz Andrzej Celary, graf na Lublińcu i Radziątkowie, poczem ruszył pochód uroczysty ku Jasnej-Górze, przy odgłosie Godzinek o Niepokalanem Poczęciu Bogarodzicy:

„Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą, zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą! Przybądź nam, Miłościwa Panno, ku pomocy, a wybaw nas z potężnych nieprzyjaciół mocy.”

(D. c. n.)



# KSIEGA CUDÓW,

## doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

Dziwna rzecz, że Janów tylko klęska ścigała w klasztorze. Dnia jednego, trzech młodzieniaszków, Janowie, od kul z armaty szwedzkiej polegli. Innego znowu dnia czterech Janów pociski szwedzkie ze światła zmiotły. Łaska to Boża dla nich, że głowy w obronie miejsca cudami słynącego położyli; szczególne zaś jest, że Szwed w dzień Ś-go Jana Ewangelisty, opiekuna Najświętszej Panny, od Jasnej-Góry odciągnął.

Zdumiewa jeszcze, że tak mała garstka ludzi: 70 zakonników i żołnierzy 160, i to do boju nieprzyuczonych, na prędcę ze wsi zebranych, kilkudziesięciu szlachty, wszystko to zamknięte w warownicy małej, nienazbyt obronnej, podołało wojsku Szwedów, które z początku oblężenia 12 tysięcy, a w końcu do 20 tysięcy żołnierza doskonale wyćwiczonego liczyło. Dłoń to Boska sprawiła, za dokładem rąk ludzkich, przy dzielności Augustyna Kordeckiego, podówczas przeora Jasnej-Góry, któremu też dank powszechny za to przyznano i od majestatu królewskiego godność ofiarowano, od czego się wymówił.

Otrzymane z rąk Boskich i Najświętszej Panny zwycięstwo słychać dotychczas przy corocznej pamiątce, podczas solennej Wotywy, w dzień Ś-go Jana Ewangelisty odprawowanej, z tryumfalnym hymnem „Ciebie Boga chwalimy“, wspieranym hukiem armat. (Przypominamy, że ksiądz Nieszporkowicz pisał dzieło swoje w początkach XVIII stulecia, za panowania króla Augusta II). Jaka była ze zwycięstwa radość, jakie zbieganie się na Jasną-Górę panów i popólstwa, celem podziękowania Naj-



świętszej Pannie za zwycięstwo, jakie listy z odległych stron z powinszowaniem — trudno tu opowiedzieć. Cała Polska ożyła po złamanym i jak piłka od ściany, tak sromotnie od Jasnej-Góry odrzuconym nieprzyjacielu, który już całej Polski zwycięzcą chełpił się i głosił. Tak właśnie i husyci, co to ongi ośmielili się napaść na Jasną-Górę, kościół ograbić i wizerunek cudowny haniebnie obrazić, zapłatę swoją wzięli.

Przewrotni heretycy, jak o świętej wierze katolickiej siła fałszów i baśni zmyślać zwykli, za poduszczeniem szatańskim, tak też we wszystkich innych zdarzeniach ujmują w pomoc fałsze i kłamstwa, iscie machiawelskie. Doznała tego Jasna-Góra po zwycięstwie, bo jej blask, jej sława zawsze raziła i razić będzie zazdrośne oczy heretyków. Między inremi rozgłaszali przez swoich sekretarzów, że już ją zdobyli, że żołnierzy i zakonników wycięli, że 20 tysięcy Polaków, z odsieczą dążących klasztorowi, znieśli. Lecz nie udały się kłamstwa.

Rychle też rycerstwo polskie, jeszcze nie wiedząc o odstąpieniu Szwedów od Jasnej-Góry, w Tyszowcach konfederacyę umówiwszy, po-przysięgło stanąć przy królu Janie Kazimierzu i Szwedów pokonać. Jakkż istotnie ich pokonali, za oczywistem Panienki Najświętszej błogosławieństwem.

Król Jan Kazimierz zawiadomił Jego Świętobliwość Papieża Aleksandra VII o cudownem odparciu Szwedów od Jasnej-Góry listem łacińskim, który takie miał znaczenie:

„Najświętszy i Najbłogosławieński w Chrystusie Ojcze, Panie Najłaskawszy, przy pocałowaniu świętych nóg Świętobliwości Waszej, siebie samego, oraz królestwo i państwo moje, jak najpokorniej polecam.

Przesławnej Wielkiej Boga Matki obraz, który w Częstochowie, w królestwie mojem, starodawną czeią i cudów sławą jaśniej, gdy świat polski oną sławą nappełnił, nie pozostał tajnym i dla samego stołecznego Rzymu. A zatem, że i Świętobliwości Waszej cudowne jego przywileje są wiadome dawno, o tem nie wątpię. Sława tego miejsca świętego jaśnieć nie przestaje, tłumy pobożnych wciąż do niego spieszą, doznając pocieszenia w utrapieniu, oraz wielkich i solennych łaskawości Boskiej dobrodziejstw.

Lecz wspominając o tem, muszę też wspomnieć przykład cnoty i stateczności, jaki zakonnicy miejsca tego, Bracia zgromadzenia Ś-go Pawła, pierwszego pustelnika, w utrapionych i zdesperowanych terminach, niedawno wydali. Wiadomo niewątpliwie Świętobliwości Waszej, jakimi uciskami ja i królestwo moje obciążone było, z powodu nawału różnych a mocnych nieszczęśliwości, którym też najprzedniejsza część królestwa mego, około Wisły leżąca, podpadła. Jedna tylko Jasnogórska Częstochowa, żadnemi nieprzyjacielskimi sztukami ani mocami nie poruszona, za mnie dzielnie stawała i wszelkie przeciwności, przy

pomocy Bożej, pokonała. Słuszną rzecz tedy, żebym za tak znakomite zasługi zakonników rzeczonego miejsca winnym się znał i teraz z zalecenia mego ich nie wypuszczał. Racz przyjąć, Wasza Świętobliwość, do ojcowskiego serca Swego pragnienie moje i spraw, iżby przezacny klasztor jasnogórski łaskami Świętobliwości Waszej zabłysnął, ku czemu racz otworzyć Skarb Apostolski, nigdy nieprzebrany. Dobrodziejstwa dla klasztoru, ja za dobrodziejstwa mnie samemu ofiarowane poczytam.“

Przed powrotem ze Śląska na Jasną-Górę cudownego wizerunku Najświętszej Panny, a już po zawitaniu do klasztoru króla Jana Kazimierza (który zaraz po odstąpieniu Szwedów z małżonką swoją królewską i panami senatorami przybył), trzy słońca, pasmem promienistym ze sobą złączone, ukazały się nad Jasną-Górą w niedzielę przedkwietnią, o południu. Niedosyć było pospolitemu słońcu jednemu, ale aż trzy one świeczniki firmamentu kredensowały na drodze wracającej do stolicy Swojej Najświętszej Pannie. Stało niegdyś słońce, pomagając blaskiem swoim do zwycięstwa nad Madyanitami, a tu trzy słońca przyświecały zwycięstwu trojakiemu: więc pokonaniu mocy szwedzkiej, stłumieniu niezgody polskiej i pokonaniu zaślepienia heretyków. Po trzyletnich burzach, wypogodziło się niebo nad Polską.

Brzmiała w Rzymie rozgłośnie sława o cudownej obronie Jasnej Góry, bo nie tylko Jan Kazimierz listem swoim, do Jego Świętobliwości Papieża Aleksandra VII pisany, ją rozbudził, ale też Sam Bóg się do tego przyczynił, zwracając tych skruszonych Polaków, którzy ze Szwedem trzymając, pod Jasną-Górą przybyli, na pokutę do Miasta Wiecznego. Nie uczestniczyli oni w oblężeniu, ale widzieli wszystko, co się tam działo i w Rzymie odpowiedzieli.

Gdy już się burza wojenna uspokoiła, znalazł się w wielkiej potrzebie klasztor jasnogórski, boć włości jego były przez Szwedów zrujnowane, mury klasztorne nadwyrężone, a gotowizna wyczerpana. Ale znalazła się na wszystko pomoc w ofiarności ludzi pobożnych i w skarbcu klasztoru. Na podźwignięcie Jasnej-Góry poszły złote i srebrne wota, przez bogomyślnych ludzi tam złożone.

Na tem wspomnieniu zamykamy „Księgę Cudów“, ułożoną z nieocenionej pracy księdza Nieszprkowicza.

# ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

---

## IX.

### Jan z Dukli.

W Krakowie przymrozek jesienny posrebrzył już dachy, pobelił kamienie i powoli ustępował promieniom słońca, które jaskrawo wschodząc, rozgarniało mgłę, obwijając miękkim uściskiem budzącą się ziemię.

Dzwoniły dzwony, ruszał się lud, rynek zaludniał, kominy wyrzucały kłęby dymów, rozwierały się żelazem okute i żelazem ryglowane drzwi sklepów.

A w rynku leżały wszystkie skarby jesieni, nagromadzone razem. Tam śliwy, okryte barwą sinawą, przyprowadzone z Węgier; rumiane jabłka Tyrolu; gruszki soczyste w niepozornej łupinie; i bukowy owoc, przysmak próżniaków; i orzechy łakome dla dziewcząt; i warzywo na podziw i pożądanie gospodyń, porozkładane tak ślicznie, tak misternie, że się wdzięk jego przyjemnie dwoił. Czego bo tam zresztą nie było... Owoce, warzywo, a bułki, a gomółki, a obwarzanki złociste, a pierniki słodkie, a placuszki makowe, a sery kminem tkane...

Za zielonemi, żółtymi i czerwonymi straganami, przy budkach, przy ławkach, przy rozstawionych koszykach, przy rozsypanych na matach owocach, rozrzuconych pod murami garnkach ilżyckich, siedziały wesołe, rzeźwe, w czepcach sutych, z miną tęgą, panie, mieszcзки i prze-

kupki. Niekiedy ze straganu do straganu wylaływało to pozdrowienie uprzejme, to ostry przycinek, wnet odpłacany ostrzejszym jeszcze, a nie raz zapieczętowany szturchańcem. Bo jakże tu nie wojować, kiedy się siedzi łokieć w łokieć, nos w nos; kiedy się radzi przez długie godziny dnia, a czasem odbierze, odwoła kupującego... A jednak w tych pierśsiach, osłoniionych grubemi chusty, biją pocziwe serca; te usta, nawykłe do słów ostrych, modlą się gorliwie i zawsze biedaka obdarzą.

Pomiędzy przekupkami znajdują się znajome już nam: pani Marcinowa i pani Janowa.

Chociaż wcześniej, na rynku już był ruch wielki pomiędzy straganami. Każda gospodyni skupowała, co jej było do domu potrzeba; stąd i zowąd odzywały się łajania, targi, powitania, i śpiewy dziadów pod kościołem, i stukanie rydwanów po bruku nierównym. Pani Marcinowa, wychyliwszy głowę z po za stragana, oparłszy się rękoma o wystawę, gadała coś z panią Janową. W tem z ulicy niedalekiej dały się słyszeć wrzaskliwe jakieś głosy.

— A to co? — zapytała Marcinowa. — Czy pożar gdzie? czy winowajcę jakiego wiodą?

Pani Janowa odwróciła głowę, przysłuchiwała się trocha i dodała:

— Widzi mi się, żakowskie to są głosy.

— Żakowskie? Abo co?

— Musi być u nich jakieś święto...

— Święto? Jakie święto?

— Kto ich tam wie? A może tak wrzawliwie po jałmużnę idą?

— Chyba nie, bo jakoś nie po swojemu dziś śpiewają...

Gdy tak rozmawiały, z ulicy wysypał się tłum radośnie krzyczących żaków. Przodem szli starsi, dziatwa gnała za nimi. Wszyscy prawie byli poubierani wedle ustawy uniwersyteckiej — w ciemne sukienki, ale z rozmaitemi dodatkami.

U niektórych wisały przy pasie kałamarze; innym z pod poły świeciła końcem szabla; ci nieśli kije jałowcowe i tarniowe; owdzie opończą jaśniejszą odróżniali się.

Na bardzo wielu sukniach świeciły pstro łaty różnej barwy, ale wybaczyć musiano ubóstwu ten komiczny strój. Na twarzach bladych i rumianych, tłustych i chudych, ogorzałych i białych, jaśniała rześka, młodzieńcza radość — usta się śmiały, oczy iskrzyły. Biegli, popychając się, targając, szarpiąc, przeganiając, częstemi bitwy na prędcie urozmaicając pochód.

Jeszcze w ulicy, jak w ulicy, ale gdy się wysypali na rynek, i tyle pokus razem uderzyło ich oczy, porządek zupełnie im się pomieszał. Większość sypnęła się ku straganom, z prośbą o jałmużnę. Zadrżały przekupki na widok groźnej fali, która w jednej chwili podmyła



stopy straganom, wpadła na ławki i stoliki, zaczerniała wszędzie. Trzeba było stu oczu, aby dopatrzeć ruchy tyłu rąk wyciągniętych ze wszystkich stron, czyhających na owoce, na bułki, na placuszki. Oczy zaś mieszczek zwróciły się na główne figury pochodu: na gromadkę, kroczącą poważnie, z pieśnią przez rynek.

Był to dzień dla żaków świąteczny, obrzędowy: dzień Ś-go Gawła, dzień koguciej bitwy i wesołej zabawy.

Więc przodem niesiono ogromnego koguta, nieoskubanego, jak w Anglii, do bitwy, ale w całych wspaniałych piórach, z ogonem połykującym, z dziobem wyostrozonym, oczyma na wierzchu, z łapami związanymi różnokolorowymi wstęgami. Za tym królem kogutów niesiono różnej maści i wzrostu, tłuste i chude kury. Żacy, idąc, drażnili je, zwracając ku sobie i wyzywając.

Karmione umyślnie zieleń, zwanem Włoski Matki Bożej, ptaki te były w jakimś upojeniu, podnieceniu — trzepotały się ku sobie, porywały jedne na drugie. Żacy wstrzymywali ten niewczesny zapęd do walki, wołając:

— Poczekajcie, mości rycerze, poczekajcie jeno trocha — zaraz staniemy na miejscu, to i krew popłynie!

A tymczasem pieśń wesołej wojny brzmiała wesoło.

Znajdowała się w rynku gospoda „Pod Kogutem“, której właściciel oddawna miał przywilej dostarczania na ten dzień placu bitwy i karmu żakom bez opłaty. Za to tłum ciekawych, zbierający się zawsze gwoili oglądaniu tych zapasów, jedynych w swoim rodzaju, sownie mu wynagradzał kłopot i koszt. Przeto dziś również zebrali się mieszczanie, gawiedź próżniacza, nawet dworscy wielkich panów i szlachta uboższa, aby przypatrzeć się szczególnej bitwie. Ulica przed gospodą była pełna ludu, podwórzec i izby nabite, z okien wychylały się gęsto głowy.

Żacy z pieśnią głośną zwrócili się ku gospodzie, na której progu stał już na nich oczekujący gospodarz, wtoczyli się na dziedziniec, za nimi zaś płynął tłum, swarząc się i popychając.

Plac bitwy, ów podwórzec, otoczony był z czterech stron murami, galeryami, zajętemi przez ciekawych, różnej płci i wieku; w obydwóch na przestrzał bramach otwartych, ścisnęły się kupy pospólstwa. Na posypanej piaskiem przestrzeni, rozstawili się żacy, zostawując pomiędzy sobą niewielką przestrzeń dla walczących. Depozytor beanów najprzód rozpętał wstęgi swego koguta i postawił go na ziemi, trzymając jednak.

— Do boju! do boju! — zawołali żacy. — Biały przeciwko żółtemu!

Jakiś żaczek wysunął się z białym kogutem naprzeciwko.

— Kto stawia na mojego? — odezwał się depozytor.

Były bowiem we zwyczaju zakłady, a wygrywający zwykle właścicielowi koguta albo całą, albo znaczną część wygranej oddawał.

Pomiędzy widzami wszczął się szmer, — kilka rąk podniosło się w górę, kilka głosów krzyknęło:

— Bliżej, panowie zakładnicy!

Ale tłok nie pozwolił się zbliżyć. Nareszcie, gdy pieniądze złożone zostały z obu stron na przygotowanej ku temu czapce starszego żaka, dwa koguty stanęły naprzeciw siebie. Oba były już rozdrażnione, nakarmione ostremi przyprawami, upojone i zajadłe.

Kogut wielki, złocistopióry, poczuwszy się wolnym, nasrożył się, załopotał skrzydłami i puścił się zaraz na przeciwnika, zniżwszy głowę, jak baran, kiedy chce tryknąć innego barana. Biały zaś podniósł szyję i zapiał.

Wszyscy w śmiech z białego, tembardziej, że na głos jego piania co było kogutów, wszystkie pięć zaczęły rozmaitemi tony. Biały tymczasem wcześniej już odśpiewawszy zwycięstwo i ujrawszy przed sobą zapaśnika, gotowego do boju, podskoczył, wyciągnął szyję, oczy wytrzeszczył, pióra mu się najeżyły, załopotał skrzydłami i dziobnął w łeb przeciwnika.

Złocisty rycerz nie spodziewał się tak zuchwałej zaczepki, oburzony nią, podniósł też głowę do góry. gdy biały, rozmachawszy się, podskoczył i dziobnął go około szyi. Tamtemu brakło już cierpliwości — rzucił się z całą siłą na napastnika, jakby go chciał zdusić i rozszarpać. Biały, nastroszywszy się, najeżywszy, cofać się począł z dziobem otwartym, na każdy cios ciosem odpowiadając. Złocistopióry gonił go ciągle, a przyparłszy do nóg właściciela, skoczył na niego. Ale z białego był frant nielada. Uniósł się nagle w górę, podleciał, sam usiadł na grzbiecie złocistopiórego i począł bez litości stukać mu w łeb ostrym dziobem, bijąc go po bokach skrzydłami. Napróżno tamten szamotał się, trzepał, chcąc się uwolnić z niebezpiecznego uścisku, — szyją kręcił, biegał w kółko, wywracał się — nic nie pomogło. Grzebień mu się okrwawił, jedno oko miał podbite.

Biały zeskoczył na ziemię, gotów jeszcze stanąć do pojedynku z żółtym. Ale tamten już się, jak pijany — skutkiem ran na łbie — zataczał. Niewiele już kosztowało ostateczne zwycięstwo białego rycerza: w jednej chwili wywrócił żółtego olbrzyma, począł go deptać łapami, nastając na łeb i oczy.

Walka była skończona, rozdzielono koguty, zakładnicy bez zwady wyjęli połowę zakładu z czapki, drugą połowę zostawiając właścicielowi białego wojownika.

Po pierwszym pojedynku, nastąpił drugi, trzeci i czwarty, z coraz większą wrzawą i wesołością żaków. Zakłady też wzrastały.

Między innymi stał na ustroniu Maciek Skowronek, podparty na dłoni, oczyma wprawdzie ścigając walkę, ale myślą widocznie bujając gdzieindziej. Wśród ogólnej wesołości towarzyszków, on jeden tylko był smutny.

Z tłumu widzów raz i drugi wychylała się głowa szlachcica w szaraczkowej kapocie, który pierwszy dał sierocie jałmużnę. Zdawał się on czegoś szukać pomiędzy żakami, wreszcie, spostrzegłszy Maćka, zbliżył się do niego. Z drugiej strony kampsor Hahngold także na Maćka poglądał i widać było, że pragnął także do niego się zbliżyć, bo go świdrował oczyma i niespokojnie się kręcił. Szlachcic, stanąwszy przy Maćku, ujął go za ramię, szepcząc:

— Coś ci powiem!

Maciek żywo się odwrócił, a ujrzawszy pamiętne oblicze dobroczyńskiego człowieka, pokłonił się i uśmiechnął.

— Chodź jeno na stronę — rzekł Czuryło, bo tak się zwał on szlachcic.

Z niemałą trudnością przetłoczyli się przez tłum i przystanęli w zagłębieniu, pod galeryą.

— Jakże ci się powodzi w Krakowie? — pytał szlachcic.

— Dzięki Bogu, dotąd szczęśliwie — odparł Maciek. — Zapisalem się do bursy, gdzie mam przytulisko, żacy-bracia przyjęli mnie za swego, a chleb powszedni Pan Bóg zsyła.

— Toś sobie nie znalazł jakiej służby, żeby na chleb zarobić? Byłoby bezpieczniej mieć przynajmniej strawę zapewnioną na codzień...

— A któż z nas, żaków, ma ją zapewnioną? Tylu nas tu jest — więcej sług niż służby, więcej gąb niż chleba, więc chociaż jeden drugiemu pomaga, nie każdy idzie spać syty. Czasem modlitwa zastępuje pokarm. Jednego dnia siadamy śpiewać pod figurą, pod murem cmentarnym; drugiego chodzimy od drzwi do drzwi; to znów dzielim się z braćmi, jeżeli jest co do podziału. Czasem się zdarzy wody przynieść, podwórko zamieść, dziecka popilnować mieszczaninowi i za to jest łyżka strawy...

— Hm... tak... Bóg o sierotach pamięta — mruczał szlachcic. — Ale i ty pamiętaj, choćby ci chłodno i głodno było, cudze niech dla ciebie zawsze będzie cudzem.

— Juści, a jakżeby zresztą inaczej? Nadzieja w Bogu, mój jęmość i w tem, że *dobremu wszędy dobrze*.

A gdy w dalszej rozmowie szlachcic usłyszał z ust chłopca pogwar-kę litewską, poruszył się mocno.

— Toś ty z Litwy? — zagadnął.



— A z Litwy — odparł Maciek, oczy spuszczaając.

— I sierota?

— Sierota, proszę jegomości...

— A twoi rodzice... kto oni byli?

— Nie wiem.

Szlachcic głową pokręcił i znów zapytał:

— Gdzieżeś się chował?

— Ano, na Litwie.

— Ale gdzie, w jakiej miejscowości?

— Wybacz jegomość, że nie powiem. Dla jegomości to rzecz obojętna, a jam nie rad czasy dawniejsze wspominać.

Szlachcic pomruczał, wąsa siwego szarpnął i rzekł:

— Chwali ci się, że lada komu nie ufasz i że nie paplesz bez potrzeby; ale widzisz, mój kochanku, ja nie z prostej ciekawości cię rozpytyję. Ja coś może wiem o tobie i o twoich...

Maciek oczy pełne łez wpatrzył w starego i z pewną obawą zawołał:

— A! panie, to chyba być nie może..

Szlachcic nic na to nie odpowiedział, dobywszy z trzosa nieco pieniędzy, wsunął je w garść Maćkowi, ozierając się, czy tego kto nie widzi. Dodał przy tem:

— Bierz śmiało i chowaj na głodny czas, a gdy ci będzie bardzo źle, bardzo ciasno; gdy będziesz potrzebował rady, pomocy, rozpytaj się o szlachcica Czuryła. Snadnie do mnie trafisz, każdy ci moje domostwo wskaże.

Miał już odejść, lecz jeszcze się wstrzymał i zagadnął:

— Słuchajno... nie zaczepiał cię kto w Krakowie oprócz mnie? nie wypytywał i nie obdarzał?

— Tylko jakaś przekupka i Żyd, kampsor Hahngold.

— Hm... przekupka to nic, ale kampsora się strzeż! Unikaj go i nic mu nie mów, nic!

Teraz pocziwy szlachcic zawrócił się i zniknął w tłumie, a Maciek, jeszcze oszołomiony dziwną rozmową, usłyszał za sobą wołanie:

— Maciek! hej, Maciek!

Wołał na sierotę żaczek-braciszek, ale śnać hultaj wierutny, co od pierwszego spojrzenia poznać można było. Znano go w mieście pod imieniem Urwisa. Rodem był z Krakowa, miał niegdyś rodziców majątnych, lecz osierociał i to w sposób niezwykły. Mienie rodzicielskie pożar strawił; matka rzuciwszy się w płomienie, aby syna jedynaka ocalić, uratowała go wprawdzie, lecz sama, opalona straszliwie, w kika godzin ducha wyzionęła; ojciec, wskutek tego nieszczęścia oszalał, skończył życie mizerne włócząc się po ulicach i wołając: — Gore! Gore! —



Sierotę przygarnęła uboga mieszcza, opiekowała się nim troskliwie, ale też wkrótce zmarła. Po jej śmierci, dorosły już Urwis został żakiem, wpisał się do bursy, co mu łatwo przyszło, bo wszyscy, pamiętając nieszczęcia, jakie dotknęły rodziców jego, szczerze mu dopomagali.

Sierota jednak, niegdyś pieszczony, a teraz zostawiony sam sobie, złą drogą poszedł. Rozswywolił się, rozpuścił, rozhultał, stał się przywódcą wszelkich żakowskich sztuczek, wszelkich bójek, zaczepek ulicznych i tumultów. Żywy, przytomny, zwinny, kłamca, łakomczuch, pobudzał innych do złego, a sam myślał tylko, aby co spletać. Na najniebezpieczniejsze rzucał się awantury i cało z nich wychodził. Żydzi bali go się, jak ognia; przekupki kłęły i groziły, ile razy na oczy im się nawinał; mieszczenie, spostrzegłszy, że się około ich domu waleśa, podważali baczność na drzwi i okna.

(D. c. n.)



## Dawne nasze klasztory i świątynie.

---

### Czersk i Góra-Kalwarya.

Po moście arkadowym Bielińskiego wchodzi się na plac, z którego pięknie się przedstawia: baszta czworograniasta i baszta od jeziora wraz z murem ochronnym od Wisły, mającym 156 stóp długości z przedłużeniem tegoż muru po za czworograniastą basztę, 16 stóp wysokości i 4 stóp szerokości, oraz baszta okrągła od wsi, wraz z murem ochronnym, ścianami zewnętrznymi byłych zabudowań zamkowych i dwoma załomami, których długość wynosi 140 stóp, wysokość od 12 do 18 stóp, a szerokość 4 stóp. Przestrzeń wewnętrznego placu zamkowego z dwóch stron teraz odkrytego, gdzie na skraju i bliżej ku środkowi, znajdują się resztki fundamentów z rozebranych zabudowań i ochronnego muru, wynosi mniej więcej do 8100 łokci kwadratowych.

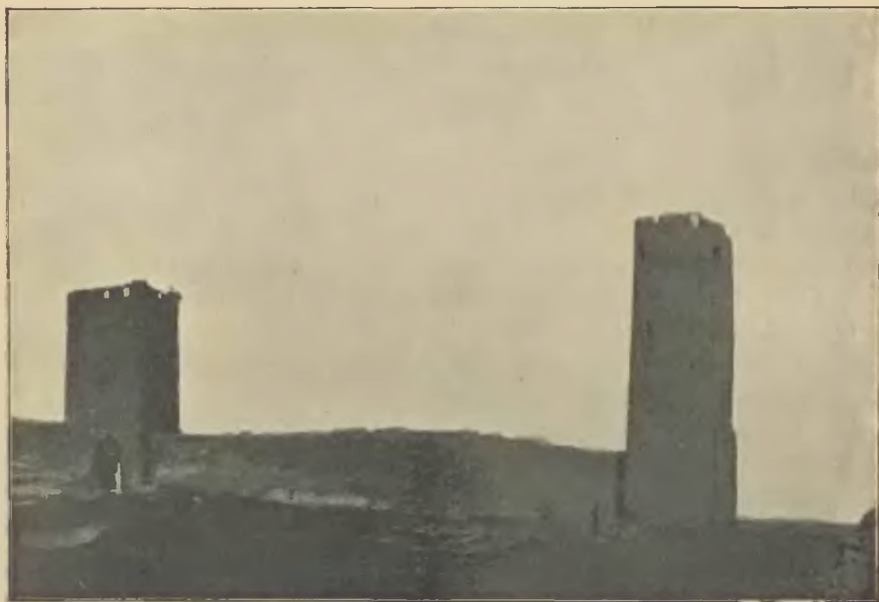
Z powodu oddania pozostałych ruin z zamku czerskiego, pod opiekę Komisji Archeologicznej, której jest zadaniem podtrzymywać tego rodzaju zabytki przeszłości, przypuszczając do współudziału w konserwacji tych wszystkich, którzy zechcą się do tego przyczynić, spodziewać się można, że wspaniałe baszty w Czersku ochronione będą od zawalenia się i ostatecznego zniszczenia.

Ruiny zamków, mających niegdyś historyczne znaczenie, znajdujących się nieopodal większych miast, a licznie w lecie nawiedzanych przy uławnionej, jak do Czerska, komunikacji, po odpowiedniej rekonstrukcji, nadaćby się może mogły do pomieszczenia w nich pamiątek, dotyczących samego miejsca i okolic, z prawem pobierania opłaty od

zwiedzających, na utrzymanie dozorczy takich zbiorów, oraz na pokrycie innych kosztów.

Według miejscowego podania:

1. Tu, pod zamkiem czerskim, Wisła dawniej płynęła.
2. W obrębie zamku znajdowała się głęboka studnia.
3. Od okrągłej baszty (od jeziora) urządzone były podziemne komunikacje, z których jedna dochodziła do wsi Tatar, a druga do Czapel.
4. W grobach, pod kaplicą ś-go Piotra na zamku, grzebani byli panowie Czerska (książęta).



Dwie wieże i mur ochronny ruin zamku w Czersku, od strony Wisły.

O zmianie koryta Wisły, płynącej teraz w oddaleniu jakich dwóch wiorst od zamkowej góry, wspominają wprawdzie niektóre opisy, a dawne koryto pokazują starsi mieszkańcy Czerska, lecz nie jest wiadomem, w jakim to czasie nastąpiło. Studnię może zasypano, bo niema śladu, by niegdyś była. Do podziemnych wyjść z pod okrągłej baszty, nikt nie dostał się w ostatnich czasach, więc i co do tego, niema nic pewnego.

Z książąt i księżnych, których poczet pomieszczonym był wyżej, snem wiecznym spoczywają:

W archikatedrze ś-go Jana Chrzciciela w Warszawie:

Janusz I (senior) od r. 1429, Bolesław IV od r. 1454, Stanisław od r. 1524, Janusz od r. 1526.

W katedrze Płockiej:

Konrad I od r. 1247, Bolesław II od r. 1313, Marya z książąt ruskich, małżonka Trojdena od r. 1340, Ziemowit III od r. 1381.

W kościele byłego opactwa kanoników regularnych lateraneńskich w Czerwińsku nad Wisłą — Konrad II od r. 1294.

W byłym kościele Dominikanów w Warce, na który wraz z klasztorem, przeznaczonym był przez Trojdena dawny zamek książąt mazowieckich, a po ostatecznem rozebraniu tegoż kościoła w r. 1859, w kościele po-franciszkańskim.

Trojden od r. 1341, Ziemowit II, książę sochaczewski, brat Trojdena i Anna, siostra Witolda, a małżonka Janusza I (seniora) od r. 1429.

Być bardzo może, że ktoś z książęcej rodziny i umarł w Czersku, lecz w takim razie, na miejsce wiecznego spoczynku, odpowiedniejszym był kościół parafialny Zwiastowania Najświętszej Panny, znajdujący się niegdyś po drugiej stronie drogi, naprzeciw teraźniejszego kościoła, aniżeli niewielkich rozmiarów kaplica ś-go Piotra na zamku.

Do wielu zamczysk przywiązane są legendy o nadzwyczajnych fenomenach, a w Czersku utrzymuje się również wersja, że od czasu do czasu wśród tamtejszych ruin pojawiały się nocną porą jakieś korowody nie z tego świata. Zważywszy jednak te okoliczności, że ruiny zamków zarośnięte krzewami i zielskiem, znajdujące się najczęściej na pustkowiach, będące uprzywilejowaną nocną lokacją puchaczy, sów i puszczyków, ptastwa, wydającego przeraźliwe głosy, z natury rzeczy posepny mają wygląd, że mrok nocny, wszystko przekształcając w sposób fantastyczny, podnieca wyobraźnię nader wtedy przystępną do przypuszczeń i przewidywań, powodujących zwracanie uwagi na najmniejszy szelest, oraz na lada jaki cień, że wedle mniej lub więcej fantastycznego mniemania miejscowej ludności, starodawne rezydencje zaznaczyły się zazwyczaj tragicznymi wydarzeniami, to nic niema dziwnego, że wytwarzają się niemniej fantazyjne opowieści, różnemi dodatkami z czasem ubarwione, które zawsze o nocy wspominają, jako o porze onych widziadeł.

Baszty zamku czerskiego, za miejsce przebywania w czasie lata, wspólnie z żałobnymi, bo czarnymi językami obrały sobie i bociany, pożądane zwiastuny, jak w ostatnich, niestety, latach zimnej wiosny, które od zimna i głodu niekiedy skulone, jakby na straży ruin nieruchomości czuwają na wierzchach baszt. Apatyczne z pozoru, lecz bardzo



zmyślne, za młodu w karności wzorowej chowane, ptaki te ścielą sobie po dwa i trzy gniazda na jednej baszcie, przykładną sąsiedzką zgodę z sobą zachowując, w dawnej siedzibie mazowieckich Piastów, którzy nie zawsze odznaczeni się zaletą, właściwą skrzydlatym mieszkańcom tych pozostałych po nich ruin.

Przybywających w celu zwiedzenia czerskich ruin namawiają miejscowi chłopcy, by po gzemsach i dawnych schodach, na wierzchy baszt włązili, sami to czyniąc dla dania przykładu. Karkołomna ta wszakże gimnastyka, mogąca się kiedyś zakończyć bardzo smutnie, po-



Wieża, mur ochronny oraz ściany zewnętrzne ruin zamku w Czersku.

winna być wzbronioną przez miejscową władzę i należy dać jakieś zapory, utrudniające przystęp do włączenia.

Z zamkowej góry lubuje się wzrok piękną panoramą, obejmującą zawiślańskie obszary, urozmaicone siołami i konturami lasów wdali, lecz patrząc na ruiny stołecznej niegdyś rezydencji udzielnych książąt, na myśl przychodzą słowa „*Sic transit gloria mundi*.”

Czersk nie doczeka się chyba wzajemności od Warszawy w ściśleń znaczeniu tego słowa, za udzielaną niegdyś przez stołeczne to mazowieckie miasto, skromnemu jak natenczas syreniemu grodowi po-

moc, w jego finansowych kłopotach, lecz jak przedłużoną będzie do Czerska projektowana podobno kolejka z Góry-Kalwaryi, to osada ta, na wzór Skolimowa i innych miejscowości, nadających się do pobytu w czasie lata, przez mieszkańców Warszawy, zabudowaną być może. Na pięknych widokach nie zbywa, drzew do zakładania ogrodów nie zabraknie, a wtedy znajdzie się może jaki przedsiębiorca, mogący zachęcić przybywającą w dnie świąteczne publiczność warszawską do podtrzymania sumiennie prowadzonego zakładu kawiarniano-restauracyjnego, w którymby można było znaleźć przyzwoity punkt oparcia dla odpoczynku.

*A. Deboli.*



## Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

---

*Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy,  
wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego.  
Czytaj, rozważaj i wznos serce do Boga, źródła wszelkiego dobra  
i szczęścia*

---

### Afryka: Z wybrzeża Beninu.

Wielce interesujące znajdujemy wiadomości w „Misyach Katolickich” w opisie skreślonym przez przełożonego misji w Beninie.

Godzina temu, jak wróciłem z Odey. Podróż i przyjęcie, jakiego doznałem u króla i nadzieje, jakie nam zrobił, wcale nie należą do rzeczy powszednich; wszystko to zasługuje na wzmiankę.

Przyjaciół mój ksiądz Vermorel, wróciwszy z Ojo, na czas krótki w bardzo ważnych sprawach wybrał się w podróż wraz ze mną. Jemu było to po drodze; ja zaś zdążyłem do Izebu. Mieliliśmy w tym celu dwie łodzie; w jednej usiedliśmy my dwaj i chłopiec, w drugiej ambasador króla Izebu i Józef, brazylijczyk, którego siostra jest żoną królewską.

Po dwudziestu godzinach wylądowaliśmy w Ike, u urzędnika zmarłego króla Dosemo z Lagosu, który tu założył wioskę, składającą się z jakich dwudziestu kilku domów. Dostać się do tej wioski można drożyną ukrytą przez wysokie trawy na pobrażu Oschun. To bardzo „święta” rzeka dla murzynów!...

Nie śmiejcie się, kiedy to piszę. Sama ta rzeka jest fetyszem i w takim poszanowaniu u biednych murzynów, że gdyby przypadkiem znaleziono w niej trupa lub co podobnego, pewnieby krew ludzka popłynęła na przebłaganie obrażonej rzeki. Dla tej to przyczyny, lubo Oschun płynie przez Izebu, a nawet około samej stolicy i lubo mogłaby stać się wyborną drogą handlową, jest zupełnie nieużyteczną, bo takiego użytku wyraźnie prawo zabrania. Nie dziwię się tedy wcale, że mój poczciwy Józef surowej wysłuchał kapituły od posła królewskiego za to, że się odważył spluć w święte nurty rzeki.

Urzędnik wzmiankowany udzielił nam mile gościny, a nazajutrz rano przewodnik powiódł nas ścieżką wijącą się wśród ogromnych lasów: to droga do Odey. Po trzech godzinach dostajemy się do jakiejś wioski; miała ze trzy tysiące ludności, a rozłożona na wielkiej łące, bardzo ładnie wyglądała. To Ibefun. Z łaski królewskiego ambasadora dano nam uczciwy posiłek, a ludność, o ile uważam, wcale nie zdaje się tak dziką, jak się można było spodziewać.

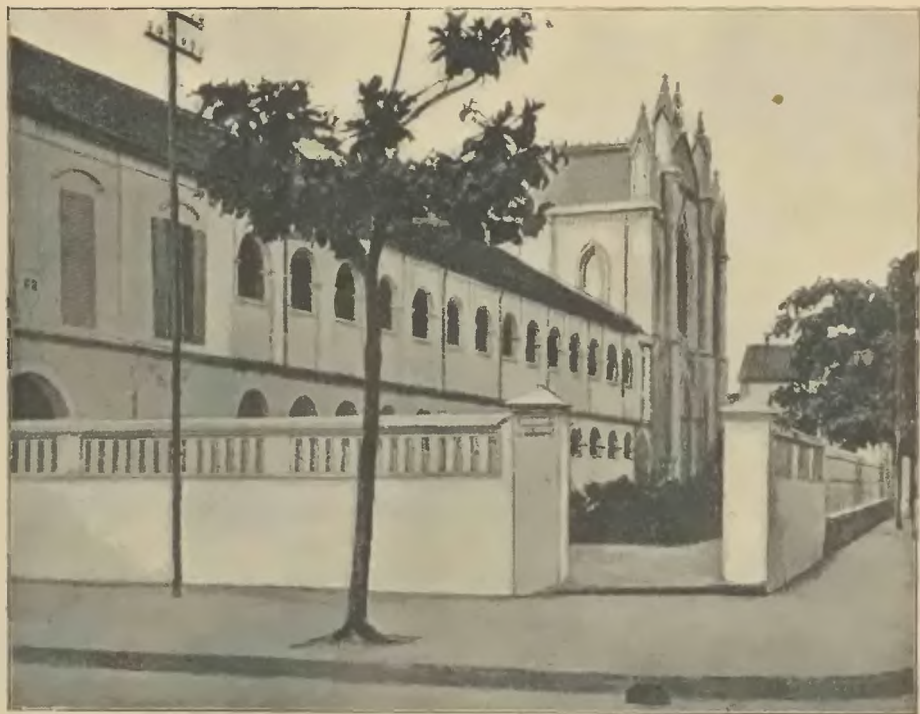
Reszta drogi znów lasem. Byłoby to nietylko znośne, ale nawet i miłe podczas słonecznego skwaru, gdyby nie ta okoliczność, że to nie ścieżki urządzone z odpływami, równe i żwirem wysypane, ale wielki łańcuch mniejszych i większych to wybojów, to kałuż. Niektóre z nich tak są okazałe, że nawet koniom naszym pokazała się potrzebną sztuka bieglego pływania; a w dodatku tu i owdzie, to krokodyl wychyla swą głowę, to waż jaki rozciągnięty w poprzek zakłada swe *veto*. Miałem ja konia, to prawda; ponieważ atoli zbyt był jeszcze młody, więc i bez takiego, jak ja jeźdźca dość miał trudne zadanie, żeby siebie samego donieść do Izebu. Szedłem więc a raczej to brnąłem w błocie, to spinałem się lub skakałem przez parowy z jakie trzy godziny. Chciał Pan Bóg, za co mu dzięki niech będą, by nas niedaleko już od stolicy spotkała gromadka jakichś poczciwych ludzi. Wysznąwszy po części na słońcu, mogłem się z ich pomocą a z trudem niemałym przyprowadzić do znośnego przynajmniej porządku. — A czas był wielki, bo stolica bielita się przed nami. Teraz dopiero dosiadam tak długo oszczędzanego rumaka i wjeżdżam. Nie będę opisywał zdumienia i ciekawości tych tłumów, co mi się przyglądały; dość, że zająłem pomieszkanie i to jeszcze u króla. On sam mieszka w sali, która się nazywa „domem oczekiwania“; ale o tem potem, tymczasem muszę się śpieszyć na uroczyste posłuchanie.

Król, uwiadomiony o naszym przybyciu, wysłał natychmiast poselstwo, które nam miało wręczyć dwa barany, garnek oliwy, ignamy i t. d., a razem oznajmić, że król jutro nas przyjmie. „Ach, to wybornie! pomyślałem sobie w duszy, bo po takim zmęczeniu sen jest nieomal jeszcze miłszym obecnie, niżli posłuchanie“. Posilony tedy od moich gospodarzy



i uraczony w dodatku winem palmowem, spędziłem noc pod dachem, i pokrzepiłem snem nadwyrężone siły. Nazajutrz taki deszcz lunął, że dopiero wieczorem mogliśmy się udać do króla. Teraz to był ścisk gapiącej się gawiedzi! Ledwieśmy się przedostać mogli.

Cały dwór monarszy i cała rodzina królewska zgromadziła się na nasze powitanie. Król Ugujemi w bogatym stroju zasiadał pod pewnym rodzajem werandy, a kiedyśmy się doń zbliżyli, powitał nas serdecznem



Azya. Tonkin. Kościół katedralny w Haiphong.

uściśnieniem ręki. Naczelnicy, którzy się opóźnili nieco z przybyciem, padają na twarz przed królem, a następnie, twarzą zawsze ku niemu zwróceni, cofają się na miejsca dla siebie przeznaczone.

Co do mnie, powitałem nasamprzód króla, a potem jego dostojną świtę; ponieważ zaś przemawiałem w języku *yoruba*, wszyscy nie tylko przyjemnej doznali niespodzianki, ale z prawdziwem osłupieniem spoglądali na mnie. Teraz dopiero usiedliśmy obaj z ks. Vermorel na prawdziwych krzesłach z Europy wprost naprzeciw jego królewskiej

mości. Wśród głębokiego milczenia, z jakiego obecni wyjść nie mogą wskutek moich lingwistycznych zdolności, zabieram znowu głos i składam królowi gorące dzięki za to, że nas powołać raczył do siebie. Dodaję, że jeżeli nie mogłem natychmiast pójść za jego rozkazem, to przyczyny tej zwłoki są mu dobrze wiadome.

— Wiem, — odparł — wiem dobrze.

— Czego Jego królewska Mość nie wie jeszcze może, to niech mi wolno będzie dopowiedzieć teraz. Dzieła, jakicheckmy dokonali pośród murzynów, zamierzamy rozpocząć i w państwie Izebu.

— Tak, tak, nie wiem wszystkiego. Ale to, co o was słyszałem, takim przejęło mnie podziwem i szacunkiem dla was, że od pierwszych dni mojego panowania myślę o tem, żeby was sprowadzić.

Na te słowa cały dostojny orszak rady królewskiej począł wołać:

— Brawo! Niech żyją kapłani *agudas*.<sup>1)</sup> Niech żyje, niech żyje król!

— Jutro, — rzecze znów monarcha, — każę was oprowadzić po wszystkich naczelnikach. Chcę, żeby i oni mieli tę pociechę przyjmowania was u siebie.

— Największą pociechę, — odparłem, — my z tego mieć będziemy.

Król trzymał w ręku coś nakształt berła miedzianego z różnemi metalowemi a wiszącemi ozdóbkami. Skoro tylko ruszył swem berłem, dzwoniło ono w jego rękach, jak całe mnóstwo drobnych dzwoneczków. Zaledwieśmy kilka zdań wymienili pomiędzy sobą, kiedy deszcz spadł taki, że się i samemu królowi pod werandą coś z niego dostało. Rozeszliśmy się tedy, a ks. Vermorel wnet potem ze swoim przewodnikiem wybrał się do Ibadanu.

Pisał mi niezadługo potem, że dzięki królewskiemu przewodnikowi, podróż całą do Ibadanu odbył ze wszelkimi wygodami. Z Ibadanu można konno w ciągu jednego dnia dostać się do Ojo, dokąd też niebawem przybył mój drogi towarzysz.

Powracam teraz do mej osoby. Odwiedziny naczelników z uroczystym odbyły się ceremoniałem; najpiękniejszy rumak, jakiego tylko można było odnaleźć w stolicy, niósł mnie wśród licznej rzeszy, a przyjęcie było wszędzie najserdeczniejsze. Takich wizyt oddałem dwanaście, a uporawszy się z niemi, zaraz udałem się do króla, jak mi był rozkazał. Tym razem posłuchanie było poufne, a król przyjmował mnie całkiem bez żadnej świty.

---

<sup>1)</sup> *Agudas* znaczy francuski.

Mój przewodnik honorowy zdał szczegółową sprawę z każdej recepcyi u owych dwunastu naczelników, a król słysząc, jak mnie dobrze przyjmowali, wykrzykiwał za każdym zdaniem:

— O, jakże się cieszę! O, jakież ja szczęśliwy! Ach, dzięki ci, dzięki!

Tu począł mi król najpoufniejsze czynić zwierzenia, zwłaszcza że nie potrzebował do tego tłumacza.



Azya. Tonkin. Dom mieszkalny w stylu chińskim, zamieszkiwany przez chrześcijan.

— Ja was, *agudas*, tak dawno już mieć tu pragnąłem, a nie tych *dżezi* <sup>1)</sup>. Tymczasem naród mój boi się niesłuchanie cudzoziemców. Dla tego wtedy was dopiero wezwałem, kiedym się upewnił, że was chętnie przyjmą, co mi tem łatwiej przyszło, że mówicie zrozumiałym dla nas językiem. Teraz, kiedy już skosztowali, że to potrawa dobra, nie

<sup>1)</sup> To jest Anglików.



dadzą się od niej oderwać. Mój lud was tedy już widział, on was kocha i nie puści was już od siebie.

Te ostatnie słowa z takim wymawiał naciskiem, że chciał oddać całą radość i przywiązanie, jakim był dla nas przejęty.

— Jestem, jak widzisz, — mówił król dalej — w „sali oczekiwania”, nim zamieszkam we właściwym królewskim pałacu, bo jeszcze nie jestem koronowany. Za pół roku będzie moja instalacya, a byłaby się już dawno odbyła, gdyby nie to, że partya zmarłego króla jest mi niechętną. Mam już więcej, niż pięćdziesiąt lat, ale chętnie przyjmuję ten ciężar na siebie, bo w ten sposób będę mógł was tu wprowadzić i mój naród uszczęśliwić.

Nie upłynie pół roku, a w tym wielkim domu naprzeciw mego pałacu wy będziecie mieszkali, i grunta odpowiednie są już wam zapewnione. Zaręczam ci, że wasza tutaj obecność wiele rozwiązała przesądów i dzięki ci za to.

Zwracając się zaś do swego ilari, czyli eunucha nadwornego, rzekł z naciskiem:

— Pomóż mi dziękować temu dobremu białemu!

Odrzekłem na to, że to moja raczej powinność dziękowania za łaski tyle; a król prosił, bym poszedł odpocząć sobie i odprowadzającym mnie ilarym różne powręczał dary, żeby mi je do domu zanieśli.

Dobry tedy początek; powiedzmy jednak coś o tym kraju.

Miasto Ode większe jest niż Lagos, ale zdaje się, że nie tak ludne, jak tamto; za to Izebu odznacza się wykwintniejszym sposobem budowania. Niema tu domu, któryby nie mógł pomieścić 100 — 150 osób. Niewolników mnóstwo, bo też to bogactwo główne mieszkańców. Kraj sam dość jest uprawny w pobliżu wiosek, a roślinność w zdumienie wprowadzić może; tylko, jak widać, nikt tu nie myśli karczować tych dziewiczych jeszcze lasów. Znajduję tutaj ignamy, kukurydzę, sorgo, pataty, fasolę, maniok, palmy bogate w oliwę i migdałowe drzewa. Na targi w Epe, Egiri, Horodu i indziej, idzie stąd mnóstwo różnych wiktuałów, najwięcej atoli kur, kurcząt i wołów. Koni jest tu niewiele, za to mnóstwo kóz i baranów. O postępie w gospodarstwie bardzo tu są skąpe pojęcia; nawet krów doić nie umieją, a do Lagos, choć to tak niedaleko, nikt nie zajrzy, a nadewszystko żaden naczelnik.

Od szesnastego stulecia zamknięte dla cudzoziemców królestwo Izebu nie widziało jak tylko raz i to jednego tylko białego, a był nim jakiś gubernator angielski. Lat temu dwadzieścia, jak tenże, zbliżywszy się już do samych murów miasta, usłyszał nieprzyjemny wyrok, że jeżeli chce widzieć się z królem, musi wprzód dać sobie ogolić głowę i brodę, a prócz tego iść boso do króla. Wytrzymały i wytrwały w postanowieniach, Anglik przystał na przykre i upokarzające warunki, bo-



daj tylko dopiąć zamierzonego celu. Wziął się tedy do niego jakiś krajowy golarz, ale nie z brzytwą, lecz z jakimś kawałkiem *ad hoc* przyrządzonego żelaza. Ośm całych dni trwała już ta operacya bolesna, a Anglik jak siedział za murami, tak jeszcze i siedzi. Pyta tedy, kiedy przecie będzie temu koniec, i dowiaduje się, że trzeba dać się golić na nowo: bo przez te ośm dni znowu broda odrosła, a tak nie mo-



Azya, Tonkin. Kobiety chrześcijanki, trudniące się sprzedażą jedwabiu.

żna iść do króla. To już było nawet i dla Anglika za wiele, i tak jak był ogolony fatalnie, co tchu wrócił do domu, dając za wygraną i zaniechał miasto Izebu i króla, którego chyba na tamtym świecie spodziewa się kiedyś oglądać.

Tak tedy tajemnicze to miasto stoi dla misjonarzy Chrystusowych otworem, a nawet wzywa, prosi i wszelkimi sposobami dokupić się

pragnie tej łaski. Jezu! pobłogosław te serca, by się stały żyzną rolą dla Twojego słowa!

## Afryka. Kongo.

Ciekawe zajście opisuje jeden z tamtejszych misjonarzy, jakie miał niedawno z czarnoksiężnikami, czyli kapłanami pogańskimi murzynów.

Siedziałem pod werandą zajęty rozmową z Ojcem Campana, kiedy jeden z naszych najemników, nazwiskiem Tafia, przyszedł z prośbą, by mu pozwolić iść nawiedzić małą swą siostrzenicę, ciężko chorą. Właśnie przed chwilą słyszałem był, że umarła; zobaczywszy jednak zdumienie służącego na taką nowinę i ja począłem powątpiewać, azali to prawda i postanowiłem iść z nim razem.

Prawdziwie chyba Stróż Anioł tej dzieciny naglił mnie do tego kroku, tak silne uczułem pragnienie uratowania maleństwa. Poszedłem, a kiedy przybył do chaty, dziecko oddychało jeszcze; matka trzymała je w swoich objęciach.

— Pozwól mi, — rzekłem do matki, — ochrzcić twoją dziecinę.

Matka zapłakana i cała w rozpacz wcale nie robiła mi w tem trudności. Już tedy miałem lać zbawczą wodę chrztu świętego na czoło dziecka, kiedy ojciec nadszedł. Ten stanowczo oparł się temu.

— Czy wiesz ty, — zapytuje go wzruszony, — co jest w tej flaszeczce? To nie lekarstwo żadne, ale tylko woda najczystsza! No, cóż, czy wiesz o tem?

— Ja nie chcę o tem wiedzieć! — odparł murzyn.

— A wiesz ty, — mówię dalej, — że ja chcę twoje dziecko tylko naznaczyć świętem znamięm chrześcijańskim?

— Właśnie to jest, czego ja nie chcę.

Tymczasem czarnoksiężnicy czyli *gangas* nadeszli. Wyniesiono dziecinę na dwór, położono przed chatą na rogoży, i teraz dopiero rozpoczęły się czarnoksiężskie ceremonie. Ogromna ilość kobiet utworzyła potrójne koło, w którego środku była dziecina i czarnoksiężnicy.

Jeden z nich zbliżył się do dziecka z jakąś paczką amuletów i nią dotykał się główki i piersi chorego dziecka, a równocześnie taki usłyszałem chór, prawdziwie czarnoksiężsko-murzyński:

Czarnoksiężnik: Oczy mają swoją władzę!

Murzyni: Patrzenia na rzeczy!

C. Uszy mają swoją władzę!

M. Słuchania, tak, słuchania!

- C. Podniebienie ma swą władzę!  
 M. Tak, tak, smakowania!  
 C. I nasz język ma swą władzę!  
 M. Mówienia, mówienia!  
 C. Wszyscy mamy taką władzę!  
 M. Tak, tak, wszyscy mamy!  
 C. A czy macie dar leczenia?  
 M. My tego daru nie mamy!  
 C. To jest dar, to jest dar.  
 M. To jest dar fetysza!



Azya. Tonkin. Pałac biskupi w Thai-Bing.

— Idź sobie precz! — krzyknąłem na bezczelnego oszusta, — ustąp miejsca kapłanowi prawdziwego Boga.

— Zaraz, zaraz! — odparł *ganga*, a gusła i śpiewy trwały dalej. Przyniesiono wódki, a czarnoksiężnik nacierał nią dziecięcę.

— Czy długo jeszcze będziesz wyprawiał te szaleństwa? — mówię z oburzeniem, — i czy cię nie wstyd będzie, jeśli dziecko umrze ci w rękach?

Na to obaj czarnoksiężnicy popatrzyli na mnie. Tego spojrzenia całe życie nie zapomnę; gdyby sam żywy szatan ludzką przyjął postać, toby pewnie straszniej nie wyszczerzył na mnie ziejących piekielną zło-

ścią oczów i zębów. Dość powiedzieć, że od okropnego gniewu obaj kłapali zębami bielszemi od kości słoniowej i trzęśli się od złości.

Zwróciłem się tedy do kobiet i starałem się przedstawić im, że takie męczenie dziecka tylko przyspieszy jego skonanie.

Tymczasem jeden z czarnoksiężników tak śpiewał:

Ganga bogaty w przemysły — he, he!

Zna różne tajniki swej sztuki — he, he!

Lecz biały, tak, biały — on zawsze — ho! ho!

Drwi sobie i szydzi z wszystkiego — ho, ho!

Chór murzyński powtarzał te banialuki w uroczystym nastroju.

— Śpiewajcie pięknie, śpiewajcie razem! — zaryczał starszy czarnoksiężnik. — Śpiew miły podoba się duchom.

Dziecko nie dawało już ani znaku życia.

— Mój Boże! — modliłem się w duszy z niewymowną boleścią, — dajże mi zwyciężyć twe wrogi!

Tymczasem czarnoksiężnicy spostrzegli, że ze wszystkich ich grymasów żadnego nie ma skutku. W rozpacz widocznej, jeszcze raz jeden z nich przyskakuje z fetyszem i dotyka nim chore dziecko.

— Tam-tam! — krzyknął na murzynów. — Bijcie w tam-tam, (narzędzie muzyczne) bijcie dobrze, bijcie mocno!

I znowu począł śpiewać naprzemian z murzynami formalną litanie do dyabła:

Czarnoksiężnik: Ty, którego wzywamy!

Murzyni: Nie zawódź nas!

Cz. Wszechpotężny Simbi!

M. Nie zawódź nas!

Cz. Prosimy cię, prosimy cię!

M. Nie zawódź nas!

Cz. Na tem dziecku!

M. Nie zawódź nas!

W czasie tej dyabelskiej orgii modliłem się tylko gorąco. Mój Tafia szeptał mi raz po raz do ucha, by odejść, bo już nic nie wskuram z tymi nieszczęsnymi ludźmi, co się szatanowi widocznie oddali; ja przecież postanowiłem zostać i na nowo modlitwę mą rozpocząłem.

Fetysz głuchy był na wszystkie zaklęcia, tłum murzynów zaczynał się niecierpliwić, a ganga, czyli czarnoksiężnik, widocznie był zmieszany.

Nagle zawołał ktoś z obecnych:

— Czy u Ojców nie ma żadnego lekarstwa?

— Tak! — zawołałem, — jest lekarstwo, i zaraz biegnę po nie!

— Lekarstwa! lekarstwa! — odzywają się głosy, nasamprzód kilka, potem więcej, nareszcie cały tłum tak woła.



O, z jakąż radością biegłem ku naszemu domowi; zdawało mi się, że chyba skrzydła jakie mnie niosą! Chwila, a już klęczałem obok rogoży chorej dzieciny; kładę rękę na sercu — jeszcze bije. Drżąc tedy cały od radości i wzruszenia, wśród tłumu cisnących się murzynów, podnoszę jedną ręką główkę umierającego dziecka, a drugą leję z flaszeczki wodę na czoło dziecięcia, głośno wymawiając te zbawcze słowa chrztu świętego:

— Maryo, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go!

Nie upłynęło chwil kilka, jak nowa święta wzbijała się z ziemi ku niebu.



Azya. Tonkin. Pagoda chińska w Haiphongu.

— Nie płacz!—mówiłem do bolejącej matki.—Nie płacz, bo twoje dziecko bardzo teraz szczęśliwe, a jeśli tylko zechcesz być wierną temu wielkiemu Bogu, co twoją dziecinę do swego raju powołał, to i ty, matko kochana, spotkasz się tam ze świętą twą córką i na zawsze cieszyć się z nią będziesz. Murzynka wzniosła oczy do góry.

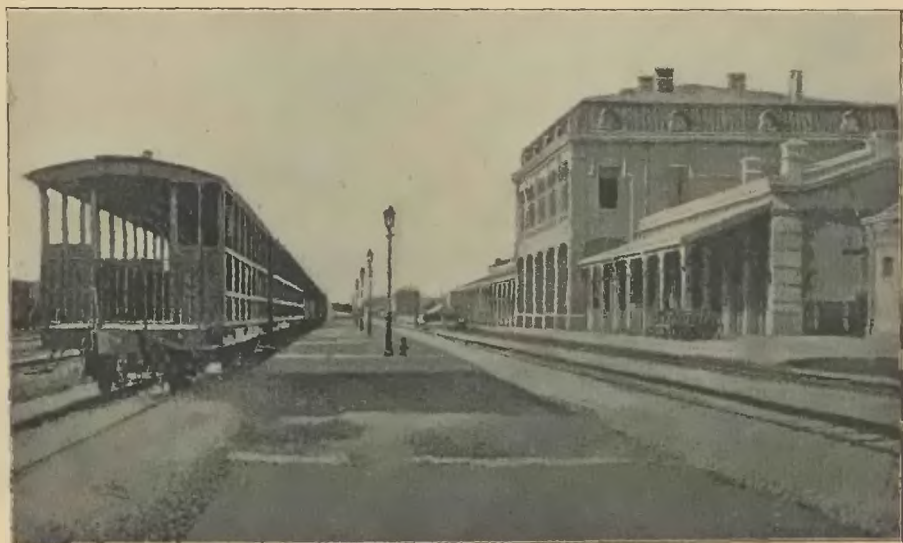
— Pragnę poznać i pokochać tego wielkiego Boga, do którego odeszła moja córeczka!..

Obejrzałem się dokoła, czarnoksiężników nie było. Ulotnili się obaj, niezawodnie coś podobnego powtarzając w duszy, jak niegdyś ich brat duchowy, Julian Apostata: *Vicisti, Galilee!*

## Azja: Kochinchina wschodnia.

Ks. biskup Grangeon, z Misyj Zagranicznych w Paryżu, pisze z Qui-Nhonu:

„Misya w Kochinchinie wschodniej obejmuje sześć prowincyj anamickich, które się rozciągają na przestrzeni 800 kilometrów od Turanu do Kochinchiny francuskiej, a w dodatku tak zwane „terytorium dzikich Bahnerów“, dzielące na zachodzie Anam od Kambodży i Syamu. Rozległa ta dyecezya, przerznięta głębokimi wąwozami i wyniosłemi pła-



Azja. Tonkin. Dworzec drogi żelaznej w Halphong.

skowzgórzami, nie posiadająca ani dróg, ani gruntów, zdolnych do uprawy, liczy przeszło 3,000,000 mieszkańców, pomiędzy którymi mamy zaledwie 78,000 chrześcijan... Należy dodać, że w r. 1885 podczas wojny z Tonkinem, straciliśmy skutkiem prześladowania 24,000 wiernych, zmarłych śmiercią męczeńską. w roku zaś ubiegłym zdołaliśmy ochrzcić około 400 dorosłych katechumenów.

Personel misyjny składa się obecnie z biskupa, 50 europejskich misjonarzy i 30 kapłanów krajowców.

Do rekrutowania duchowieństwa miejscowego pochodzenia służą dwa kolegia-seminarya, liczące w danej chwili 17 filozofów i teologów,

oraz 120 latynistów na rozmaitych szczeblach wiedzy szkolnej. Przy jednym z tych kolegów istnieje również specjalna szkoła dla katechistów, dostarczająca nam nieocenionych pomocników w nauczaniu katechumenów i chrześcijańskiej diatwy.

Do powyższych zakładów należy jeszcze dodać 10 klasztorów z 200 zakonnicami miejscowego pochodzenia, 11 ochronek dla chłopców i 8 dla dziewcząt, a wreszcie szpital, utrzymywany przez francuskie zakonnice.

Z pobieżnego tego szkicu następujący wypływa wniosek: „*Messis quidem multa, operarii autem pauci*”. O, tak, żniwo możemy mieć obfi



Azja. Tonkin. Most przez rzekę Hanoi.

te, bo stanowi je przeszło 3,000,000 dusz do nawrócenia, podobnych do dojrzałych kłosów, oczekujących tylko sierpa żniwiarzy. *Congregate in horreum!* Niestety, robotników jest mało, *operarii autem pauci*, tak, że zaledwie możemy przenieść do śpichlerza żęte oddawna już snopy, pozostawiając na polu dojrzałe już zboże, z którego kto inny może skorzystać.“

Ks. biskup Grangeon czyni tu aluzję do herbu swojego Stowarzyszenia, przedstawiającego krzyż złoty i cztery kłosa na niebieskiem polu; u góry zaś mieści się malutki śpichlerzyk, ozdobiony monogramem Misyj Zagranicznych i napisem: „*Congregate in horreum.*“



## Azja. Tonkin.

Od czasu jak Francuzi zawładnęli Tonkinem, kraina ta stała się otworem dla chrześcijaństwa. To też tam, gdzie niedawno stały jedynie liche wioski lub ciągnęły się pola ryżowe, obecnie powstają osady europejskie, a koleje żelazne niosą w głąb kraju zdobycze cywilizacji. Ilustracje nasze pouczają, jak wiele na dobre zmieniło się w tej do niedawna pogańskiej krainie, liczącej przeszło czternaście milionów mieszkańców. Krzyż tam zwycięża i coraz jaśniej przyświeca wśród ciemności pogaństwa.



Chiny. Wikaryusz apostolski w The-Kiang w otoczeniu dygnitarzy chińskich.

## Azja: Chiny.

W Zika-Wei, w pobliżu Szanghaju, zmarł O. Zottoli. Dzieła jego są w rękach tych wszystkich, którzy pragną zgłębiać literaturę chińską. Zgaśł w Zika-Wei, w 84 roku życia, przebywszy na dalekim Wschodzie prawie 60 lat.

Jest on dla wszystkich nie tylko obrazem długowieczności, ale i pracy. Oddany był i z upodobania i z obowiązku studiom charakterysty-





**Chiny. Paweł Zikolao, minister chiński, ochrzczony w r. 1603,  
a pochodzący ze starożytnej rodziny Mingów.**

(Na rysunku widzimy na prawo od góry napis po chińsku, nazwisko ministra, na lewo obraz Pana Jezusa, na stole książki religijne, napisane przez tego dygnitarza i uczonego).



ki Chińczyków, a jego „Kurs literatury chińskiej“ był owocem dwudziestu pierwszych lat, które przeżył w Szang-haju. Dziełem jednak najcenniejszem, jakkolwiek najmniej znanem, bo jeszcze nie wydanem, jest olbrzymi 14-tomowy słownik, który pozostawia za sobą wszystkie w tym kierunku dotąd ogłoszone prace. Na tydzień przed śmiercią jeszcze O. Zottoli robił przegląd tej kolosalnej pracy.

O. Zottoli nie był pierwszym, który zdobywając na dalekim Wschodzie dusze dla nieba, zdobywał jednocześnie skarby wiedzy dla świata naukowego, owszem — wszystko, co wiemy o cywilizacji prastarej Chińczyków, zawdzięczamy pracy i poświęceniu zakonników. Już w 1581 r. Jezuici zapoznawali się tam z językiem i pismem, o prawidłach i zasadach tak różnych od naszych, jak różnemi są ich obyczaje i pojęcia. Neapolitańczyk Gabryel Regorio, Passio z Bononii i Maciej Ricci z Macerata, poznawszy język i obyczaj miejscowy, wiedzę, którą przynosili z Europy, a przytem surowem a pracowitem życiem, zyskiwali sobie szacunek i uznanie urzędników i dworu. O. Ricci zwłaszcza, jako matematyk, bardzo był ceniony. Po 7 latach pobytu, zgłębił tak dalece chińskie obyczaje, doktryny, ceremoniał, że księga, którą napisał w niepojętym wówczas, obcym ludziom języku, p. t. „Tiantchon-chi-i“ zaliczoną została do klasycznych. Uczył też muzyki i w pieśniach podawał wykłady wiary. Po dwudziestu latach pracy, w stroju mandaryna był przyjęty przez cesarza. Ten nader mile go przyjął, a ucieszony zegarkiem bijącym, który mu O. Ricci podarował, udzielił mu pensję i wiarę świętą głosić pozwolił.

W XVII i XVIII w. znakomitsze dzieła o Chinach wydawali Oo. Intorcetta, Noel, Du Halde, Gaubil, de Mailla. Ks. Verbiest i ks. Gerbillon byli ulubieńcami jednego z najuczeńszych monarchów chińskich, Kang-hi, który sam przeszło 100 tomów poezji napisał i uczonym swoim polecił ułożyć słownik chińsko-mandżurski, a gdy ks. Verbiest umarł 1688 r., Kang-hi, napisał sam mowę pogrzebową i z wielką okazałością pochować kazał, co jednak nie przeszkadzało mu w czas jakiś potem prześladować chrześcijan.

Statystyką państwa chińskiego zajmowali się: ks. Gabryel Magalhan, który 29 lat przepędził u dworu chińskiego, a 8 lat poświęcił na zwiedzanie kraju i ks. Marcin Martini.

Tak więc, czcigodny, niedawno zmarły starzec, w młodym wieku, zmuszony przez rewolucję 1848 r. do opuszczenia Neapolu, odważnie wstąpił w ślady uczonych w sprawie Bożej oddanych misjonarzy, a gdy przed 6 laty obchodził półwiekowy jubileusz swej pracy w Chinach, cały świat naukowy był nim zainteresowany, wszystkie orientalne fakultety, akademie, stowarzyszenia Europy i Ameryki z hołdem i uznaniem spieszyły.

Rzeczywiście O. Angelo Zottoli wziął sobie za zadanie wskrzesić na Wschodzie tradycję dawnych uczonych Jezuitów. Po ćwierćwiekowych studiach wydaje on w 1879 r. dwa pierwsze tomy pomnikowej pracy *Cursus Litteraturae Sinicae*, w 1880 r. tom 3 i 4, a w dwa lata później 5-ty. W jednym tem dziele, przechodzącem prawie siły pojedynczego człowieka, zwłaszcza mającego obowiązki swego powołania zakonnika, O. Zottoli podaje całą, bogatą we wszystkich gałęziach i wiedzy i belletrystyki literaturę tego zajmującego narodu.

Jeśli zwrócimy uwagę, że już za cesarza Kiend-long 1773 r. zebrane najznakomitsze dzieła wynosiły 160,000 tomów, że niektóre księgi „Chon-king“, sięgają 23 wieków przed Chrystusem, że samo drukowanie olbrzymiej Encyklopedyi, w której swą całą mądrość złożyli, trwało lat 100, że poezya i pieśni ludowe, oraz sztuka rymotwórcza są w wielkiem poszanowaniu, bo jeszcze Konfucyusz wyrzekł, że kto nie zajmuje się poezyą, ten nigdy nie nauczy się dobrze mówić; a gdy dodamy do wyliczonego dotąd materiału obfitość romansu obyczajowego i historycznego, oraz dramatu, którego przeszło 2,000 tomów sama biblioteka Kompanii wschodnio-indyjskiej posiada, możemy z tego pojąć, jak wielką i pełną zasług była zarówno uczoność, jako i pilność naszego misionarza.

Dzieło też O. Zottoli'ego, uwieńczone wielką nagrodą paryskiej akademii, stało się niezbędną i jedyną podstawą studyów nad chińskim piśmiennictwem w kolegium w Zika-Wei, które przedtem już wsławione przez przyrodnika, O. Eudesa, nowym zajaśniało blaskiem. Wytworzył O. Zottoli w swej zakonnej drużynie całą szkołę badaczy i uznanych już sinologów, a czasopismo, przez nich wydawane, „Varietes Sinologiques“, cieszy się wielką powagą. Śmierć zabrała Ojcu Zottoli'emu dwóch najdzielniejszych prasowników: OO. Xavret'a i Guillard'a, a wkrótce potem i czcigodnego przewodnika pracowitych zakonników Bóg powołał do siebie, zanim zdążył wykończyć nie wydany jeszcze słownik, nad którym 30 lat pracował. Gdy dzieło to uzupełnione i wydrukowane przez uczniów jego zostanie, badacze Wschodu w XX wieku znajdą w niem olbrzymią pomoc, a sława skromnego i ubożego zakonnika nowym blaskiem rozbłyśnie.

(D. c. n.)





## Sławni Dostojnicy Kościoła.

### IV.

#### Zbigniew Oleśnicki.

Pamiętasz też, Najjaśniejszy Królu, że przyrzekałeś, jako na soborze w Konstancyi sprawę Pana mego, przeciw nieprzyjaciołom jego Krzyżakom, najusilniej popierać będziesz i stanowczą uchwałą rozstrzygniesz; nie okazałeś jednak żadnej w tej mierze gorliwości, ani chciałeś nawet zająć się tą sprawą, chociaż dopraszali się o to posłowie nasi, kosztem mego Pana niemniej tobie jak własnemu Królowi usługujący.

Również wzywany Pan mój, wielokrotnemi prośby twojemi, aby na osobiste rokowania zjechał się z tobą w mieście Lubowli, przybył w umówione miejsce, ale gdy sam omieszkałeś się stawić, wyczekawszy napróżno trzy tygodnie, odjechać musiał. A kiedy powtórnie o to go prosiłeś, on, nie pamiętając dawnej urazy, zjechał się z tobą w Koszycach i ciebie jednego chciał mieć sędzią w sprawie z Krzyżakami, acz ci wielce się na to żżymali.

Lubo zaś Wasza Królewska Mość, urażony na Krzyżaków, że twoim wzgardzili sądem, przyrzekłeś i z własnej woli zobowiązałeś się Królowi Panu memu przysięgą, że działać będziesz na zgubę i zatrata Krzyżaków, i temuż Panu memu osobistej przeciw nim użyczysz pomocy, a to tak wyraźnie obiecując i tylekroć obietnicę swoją powtarzając, że pan mój uwierzył nareszcie twoim słowom i zostawił przy tobie marszałka swego królestwa, Zbigniewa z Brzezia, żeby Waszą Królewską Miłość w pochodzie z wojskiem na wyprawę pruską, przez kraje Królestwa Polskiego, przeprowadzał i wojsku twemu, również jak i tobie,

żywności potrzebne dostarczał. Ty przecież, Miłościwy Królu, niepomny na swą przysięgę, nie tylko pomocy osobistej, nie dałeś Królowi, ale nadto, kiedy z licznem wojskiem stał już na granicach ziemi nieprzyjacielskiej, ogromne poczyniwszy wydatki, za które mógł być kupić nie tylko te ziemie, od których go odsądzić chciałeś, lecz daleko szacowniejsze i większe, — owóż ty wówczas cofnąłeś całą wyprawę obietnicą sądu polubownego, do którego sam się nastęczyłeś, za jakoby przychylnego rozjemcę.

Ale widzi teraz i poznaje Pan mój, że wszystkie przysługi, jakie ci czynił, są stracone, bo zamiast przyjaciela i sprzymierzeńca, znalazł w tobie przeciwnika podstępного i wroga. Ma dzisiaj to przekonanie, Najjaśniejszy Pan mój, Król Polski Władysław, i jawnie to wyznaje, że gdyby zdał się był na sąd najzawistniejszego i krwi najbardziej pragnącego nieprzyjaciela, nie mógłby spodziewać się tak uciążliwego i niesprawiedliwego wyroku, jaki wydałeś na niego ty, jego przyjaciel i sprzymierzeniec. Co z tej jednej okoliczności chciej wyrozumieć:

Już oddawna, bo przed wojną ostatnią, którą ty swoją namową wstrzymałeś, Krzyżacy, za pośrednictwem Papieża Marcina V, oświadczyli Panu mojemu, że mu chcą oddać Ziemię Michałowską i Ziemię Nieszawską, a nadto odstąpić praw swoich do Ziemi Żmujdzkiej i Sudawy, i 20 tysięcy czerwonych złotych zapłacić. Jak dalece to oświadczenie przekonywa o niesprawiedliwości twego wyroku, sam to najlepiej zrozumiesz, Miłościwy Królu, coś Pana mego odsądził od tych wszystkich krajów, które mu sami Krzyżacy ustępowali.

Król Zygmunt w tem miejscu znów przerwał mowę postowi:

— Prawdziwie, nie wiedziałem o tem wszystkiem. Nigdy nie wydałbym tak bezwzględnego wyroku, gdyby mi to wcześniej było wiadomo.

Oleśnicki ciągnął dalej:

— Mogłeś to, Miłościwy Królu, i więcej jeszcze wiedzieć, gdybyś chciał być wysłuchać drugiej strony, to jest Pana mego, Króla Polskiego, przejrzeć wywody, składane przez prałatów i panów Królestwa; gdybyś starał się zbadać słuszość i prawdę. Wtedy z pewnością nie odważyłbyś się wydać tak uciążliwego i niesprawiedliwego wyroku. Lecz nie mniemaj, Miłościwy Królu, żeby wyrok ten strony spór wiodące miał pogodzić. Bądź owszem pewny, że je naraziłeś na większą i zaciętszą wojnę, że rzuciłeś pomiędzy nie żagiew przyszłych bojów. Pan mój bowiem, Najjaśniejszy Król Polski, nie zniesie nigdy tak ciężkiej krzywdy, już nawet teraz zbroi się, zbiera siły do jej odparcia i wyrównania.

Boleje zatem Pan mój, nie tyle nad swoją zbyt widoczną krzywdą, ile nad twojem zniesławieniem się i sromotą. Ufając w pomoc Bożą

i słuszność swej sprawy, sam tę krzywdę, wyrokiem twoim wyrządzoną, zetrze i zagładzi; sprawę swoją, zelżoną jedynie twoim sądem (który przecież ani jemu szkodzi, ani nieprzyjaciółom sił przydać może), wkrótce podźwignie i naprawi. Ale obawia się i w przeczuciu serca ci to wróży, że jako ty, Miłościwy Królu, niepomny na przymierze, na związki pokrewieństwa, na słuszność i sprawiedliwość, wydać mogłeś przeciwko niemu na korzyść Krzyżaków tak stronny, niesprawiedliwy wyrok, odsądzić go od jego własnych dziedzictw i posiadłości, tak też Bóg, Sędzia sprawiedliwy, Mściciel krzywd ludzkich, rychlej niż myślasz, Miłościwy Królu, powstanie, wyzuje cię nawzajem z twoich państw i królestw ojcowskich za to, iż mego Pana i Króla usiłowałeś, wyrokiem swoim niesłusznym, pozbawić jego ziem dziedzicznych i własnych, które mu sami nieprzyjaciele przyznają.

Zaiste, wydaniem tak niesprawiedliwego wyroku zapaliłeś między obiema stronami zaciętą wojnę, a zarazem ujmę uczyniłeś swojej sławie, uczciwości, sumieniu, cnocie i godności stanu, tak, iż zdawało się, żeś raczej złotem Krzyżaków przekupiony, niż złą uwiedziony radą. Wydałeś samowolnie wyrok najniesprawiedliwszy, nie wysłuchawszy obrony królewskiej, nie używszy naszym obrońcom ani godziny dla wyjaśnienia sprawy, gdy tymczasem Krzyżaków słuchałeś przez dwa lata. Postąpiłeś nierozważnie, snąc mytem przedajnem znęcony. Nie ujdziesz za to kary Bożej w tem i przyszłym życiu.

Ale i o tem chce cię zawiadomić Najjaśniejszy Władysław, Król Polski i Aleksander (Witold) Książę Litewski, że wydanie wyroku tak niesłusznego większą jeszcze podnieciło wojnę i miecz, dotąd w pochwach złożony, wyzwało do sroższego krwi przelewu. Król i Pan mój oraz Książę Litwy, zaniechawszy wojny, którą nieść mieli między pogany, zwróćą swój oręż na Krzyżaków, zmuszeni przez ciebie do obrony swoich ziem, królestw i dziedzin ojczystych.

Skończył Oleśnicki, a Zygmunt, rozłożywszy ręce, powiedział:

— Cokolwiek orzekłem w sprawie Brata naszego Króla Polskiego, to, Bóg świadkiem, uznaję za słuszne i sprawiedliwe, gdyż wszystko postanowiłem za radą tych mężów.

Tu tęką wskazał na obecnych panów duchownych i świeckich.

Oleśnicki zaraz odpowiedział:

— Mogłeś, Miłościwy Królu, wyrok wydać za radą i namową tych panów; ale gdybyś również na stronę Pana mego tyłu był użył radców i pmocników, ilu użyłeś dla Krzyżaków, pewnie słuszniejszy i sprawiedliwszy wydałbyś wyrok w tej sprawie. Jeżeli jednak ludzkiej zabrakło jej sprawiedliwości, wiedz, że na sprawiedliwości Boskiej jej nie zbraknie.



Z kolei zabrał głos Mikołaj Cybulka, pełnomocnik księcia Aleksandra-Witolda:

— Nie będę ja, Miłościwy Królu, rozwodził się nad treścią poselstwa, poruczonego mi przez Pana mego, Oświeconego Księcia Litwy Aleksandra-Witolda, bo musiałbym powtórzyć to wszystko, co Wielebny i Przekazny Zbigniew przeleżył imieniem Najjaśniejszego Pana naszego, Władysława Króla Polskiego. Nie chcąc się stać przykrym tobie i obecnym słuchaczom, to jedno dodam, co Pan mój, Aleksander-Witold powiedzieć ci rozkazał.

Otóż nigdy tenże Pan mój nie miał myśli, ani zamiaru łączenia się z tobą sojuszem jakiegokolwiek przyjaźni, zawierania przymierza lub innego związku, bo zawsze był u niego w podejrzeniu, zresztą znany mu dobrze twój charakter i sposób myślenia. Przeto i Najjaśniejszemu Monarsze swemu, Władysławowi, Królowi Polskiemu, jak najusilniej odradzał, ażeby z tobą żadnych związków i umów nie zawierał, a zawarte dawniej porzucił. A jeżeli wszedł z tobą w przymierze rzeczony pan mój, Aleksander Witold, Wielki Książę Litewski, wiedz, że to nie z własnej uczynił chęci, ale z namowy i woli Pana swego, Władysława, Króla Polskiego. Zachował atoli świącie Pan mój, Książę Aleksander Witold, to wzajemne przymierze i dotrzymał przysięgi, którą się zobowiązał, że do ziem, królestw i państw twoich nigdy orężem nie osiągnie. Ale nie odpowiedziałeś, Miłościwy Królu, jego przychylności. Gwałcąc bowiem i sojusz zawarty, i przysięgę, wyrokiem swym niesprawiedliwym usiłowałeś wyzuć go z krajów ojca jego i dziada. Zaczem oznajmia ci i zapowiada, że nie chce dłużej trwać w przymierzu i związkach przyjaźni, którą ty pierwszy zerwałeś, — ale owszem i tobie, i każdemu innemu, któryby jego kraje zagarniać usiłował, najsroższym stawia się nieprzyjacielem, nie wątpiąc, że i każdy z jego następców podobnym tchnąć będzie duchem i przy pomocy Bożej, wszystkich najeźdźców Litwy groźnie odpierać. Jakoż przeze mnie, posła swego, wypowiada ci wszelką przyjaźń i przymierze, zrywa zawarte z tobą związki, z przyjaciela i sprzymierzeńca ogłasza się twoim wrogiem, gdyż pierwszy przyjaźń i sojusze wzajemne stargałeś!

Zygmunt, król rzymski i węgierski, po wysłuchaniu poselstwa, wielce rozboleł w sercu, że w obecności tylu znakomitych osób takie wyrzucano mu bezprawia, skąd ciężka na niego spaść miała ohyda i sromota w oczach całego świata. Zawziął się przeto na posłów i umyślił, bez względu na prawa narodów, kazać obydwóch utopić. Ale przecież dostojnicy przyboczni odwiedli go od tak bezbożnego zamiaru. Tedy nazajutrz, po długiej z tymi swoimi dostojnikami naradzie, wezwał posłów do kościoła Najświętszej Maryi Panny na Piasku i tam im przez Fryderyka, margrabiego brandeburskiego, odpowiedział, że wysłę do kró-



la polskiego osobnych posłów, przez których da odpowiedź na wszystkie szczegóły.

Taką otrzymawszy odprawę, Zbigniew z Oleśnicy i Mikołaj Cybulka wrócili do króla polskiego Władysława, podówczas przebywającego w Jedlny i wierną zdali mu relację ze swego poselstwa, wobec licznego zebrania biskupów, książąt i panów, którzy wielce wychwalali rozum i zręczność posłów. A lubo wszyscy biskupi, książęta i panowie zgadzali się na to, żeby wyroku króla rzymskiego Zygmunta żadną miarą nie przyjmować, po rozważniejszym jednak namyśle uchwalili, dlatego samego, że król polski Władysław przyrzekł w ugodzie, iż mającemu zapaść wyrokowi w niczem sprzeciwiać się nie będzie, ani też będzie się odwoływał do zdania innego, aby więc z powodu tych okoliczności król Władysław okazał pozornie swoją powolność, wyczekując sposobności, gdy Krzyżacy, znani z matactwa, sami przekroczą warunki, do których utrzymania zobowiązywał ich wyrok rzeczony, następując przez to okazję do zerwania ugody, a zatem i do podniesienia przeciwko nim oręża. Jakoż na okazję niedługo czekać przyszło. Krzyżacy, zaraz przy wypłacie pierwszej raty, na poczet oznaczonej przez wyrok króla Zygmunta sumy, nie chcieli wszystkiego płacić złotem. Król Jagiełło zahaczył o niedopełnienie tej formalności i oznajmił im przez posłów swoich, Zbigniewa z Oleśnicy oraz Janusza z Kościelca, wojewodę wrocławskiego, że odtąd wyrok króla Zygmunta traci wagę.

W całym tem zajściu głos przeważny miał Oleśnicki, którego wpływ rósł z dniem każdym. Król Jagiełło powierzał mu do przeprowadzenia najważniejsze i najbardziej zawikłane sprawy. W r. 1421 wysłał go znów do króla rzymskiego Zygmunta z oświadczeniem, że gotów jest Czechów, w błędach odszczepieństwa pograżonych, z onej toni grzesznej wyprowadzić i do prawdziwej wiary zwrócić, wzamian zaś żąda od Zygmunta posiłków przeciwko Krzyżakom. Udał się Oleśnicki z tem poselstwem w towarzystwie Jana z Tarnowa, wojewody krakowskiego, a znalazłszy króla Zygmunta w Tyrnawie, mieście węgierskiem, tym kształtem mu rzecz wyłożył:

— Najjaśniejszy Królu! Boleje nad tem wielce dostojny pan nasz, Król Polski, że należące do ciebie Królestwo Czeskie popadło w błędy odszczepieństwa, że nękane jest tylu klęskami domowych i zewnętrznych wojen. Na walnym przeto zjeździe, odprawionym w mieście Lublinie, w celu dania odpowiedzi posłom czeskim, którzy wzywali go do objęcia rządów Królestwa Czeskiego, używszy do wspólnej rady brata swego, Aleksandra Witolda, Wielkiego Księcia Litewskiego, oraz panów polskich i litewskich, postanowił, przez wzgląd na dobro wiary świętej, zająć się sprawami czeskiemi, obmyśleć środki uspokojenia Czechów, oczyścić ich z błędów kacerskich, w przekonaniu, że przez to wypełni

usługę Bogu i religii chrześcijańskiej, a zarazem miłą tobie i zbawien-  
ną dla ludu, tak blizkiem pokrewieństwem rodu i języka związanego  
z narodem polskim. Sądząc zaś, że bez przychylenia się twego i zgo-  
dnej woli twojej byłoby trudno dzieło to przeprowadzić, zlecił nam, swo-  
im posłom, prosić cię i błagać, abyś raczył ulitować się nad niedolą  
Królestwa twego ojca i dziada, i zezwolić, by Król nasz postarał się ł-  
godnemi środkami skłonić Królestwo rzeczzone do porzucenia odszczepień-  
stwa, zaniechania wojen, a przywrócenia u siebie pokoju; wreszcie, gdy-  
by upomnienia nie skutkowały, użyć ku temu siły oręża. Ponieważ zaś,  
Miłościwy Królu (przebac, iż mówimy otwarcie), przyrzeczeń swoich,  
i w zawartem dawniej z Królem naszym przymierzu, i później, po wiele  
kroć nie dotrzymywałeś, i z pomocą przeciw Krzyżakom pospieszyć nie  
raczyłeś, zresztą nigdy zgoła nie uiszczyły się twoje obietnice i zobowią-  
zania utwierdzone przysięgą: przeto Król nasz nie może więcej polegać  
na twoich oświadczeniach i już nie słowy ani pismy, ale rzeczą samą  
chcę z tobą działać.

(D. c. n.)



# ŻONA CEZARA

powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

## ROZDZIAŁ I.

Na oślizgłych wilgocią głazach więziennych leżała, jak biała lilia, cicha i nieruchoma, dziewczeczka wczesnej wiosny życia, o przepięknych rysach lic, na których śmierć wycisnęła swe płótno pełne majestatu.

Promyk słońca, który od góry przez wązki otwór w murze przedarł się do wnętrza podziemia więziennego, okolił, jakby aureolą świętych, jej jasnowłosą główkę, zajrzał w zwarte, martwe źrenice i zda się przepoił światłością wątłe, marmurowej białości ręce na piersiach złożone i w ostatnim uścisku tulące do serca, które bić już przestało, mały drewniany krzyżyk.

— Ireno! — dał się słyszeć z ciemnego kąta nory więziennej głos słaby, boleścią zdławiony.

Cisza głęboka była jedyną odpowiedzią.

— Ireno, dziecię moje jedyne! — dał się znowu słyszeć głos rozpaczliwy — przebudź się, podaj rękę starcowi ojcu... nie opuszczaj go w tej straszliwej ciemnicy... Ireno!...

W tej chwili na zewnątrz izby więziennej, po za żelazem okutymi drzwiami, dały się słyszeć czyjeś kroki; wnet klucz zazgrzytał, ciężkie zasuwę poruszyły się i w nawpół otwartem wejściu ukazało się kilka osób, niewiast i mężczyzn.

— Wejdz, proszę, Waleryo! — dał się słyszeć głos mężczyzny o wyniosłej postawie, napiętnowanej żołnierską dumą i pewnością siły.

— Ach, nie wymawiaj mojego imienia, Aurelianie!... Co za nieostrożność!... Wiesz, czem nam to grozi...

— Przebaczył... zapomniałem o tem!... Gdzie jesteś, Celiuszu?

— Przy boskiej Prysce, pani świata.

— A tyś gdzie, Ninusie?

— Jestem tuż, panie!...

— Może w tej norze nic niema godnego naszej uwagi... Nie widzę tu nikogo...

Człowiek, nazwany Ninusem, był uzbrojony od stóp do głów, w ręku zaś trzymał pęk kluczy więziennych.

— Przeciwnie, o, wasze dostojności, przeciwnie.. tu znajdują się dwa ptaki, jeden stary, drugi zaledwie wkraczający w wiosnę życia, które na jutrzejszych igrzyskach cyrkowych będą stanowiły największą, rzecz można, przynętę dla widzów...

— Któż to taki?... zaciekawiasz nas.... dotychczas nikogo nie dostrzegamy.

— Bo najciemniejsza to izba... a zarazem najmniejsza i najpewniejsza... W niej to zamknąłem starca, który się mienił władcą jednej z wysp greckich, a córka jego królowną...

— Oboje chrześcijanie?

— Tak...

— Któż kazał ich uwięzić?..

— Boski Maksencyusz, syn naszego cezara...

— Nastąpiło chwilowe milczenie, przerwane niebawem okrzykiem jednej z przybyłych niewiast:

— Na Jowisza!... co za obraz!...

— O, bogowie, prawda!... istny tu leży kwiat, nielitościwą ręką śmierci złamany—mówił młodzieniec, którego nazwano Celiuszem—serce moje płacze na ten widok, pełen głębokiej tragiczności. Te białe szaty, osłaniające wątłe ciało zmarłej, zdają się być słonecznym obłokiem, który z lazurów niebios przyfrunął, aby zabrać tę zagasłą gwiazdę do tęskniących za nią siostrzyc na firmamencie niebios...

— O, poeto... zawsze poeto! — przerwał młodzieńcowi Aurelian — nic z tego nie widzimy, co ty widzisz...

— A głównie tego, aby ta dziewczeczka miała być umarłą — rzekł Ninus głosem, w którym odbił się niepokój. — Boski Maksencyusz przeznaczył ją na jutrzejsze igrzyska do niezwyklej sceny... Ma tylko w lekkiej szatce wejść do klatki wygłodzonych panter...

Co mówiąc, pochylił się nad leżącą i ujął ją za rękę, w której krzyżyk trzymała.

— Ależ, o, przeklęty dniu, toż ona martwa!... nie żyje!... Dziś rano jeszcze modliła się wraz z tym starcem... Zginałem... Boski Maksencyusz kazał mi jej strzedz, jak oka w głowie... Biadaż mi, biada!...



— Uspokój się! — rzekł Aurelian — nasze ręce sięgają wysoko... a głowy z prośbą do stóp widomego i żywego bóstwa każdej chwili pochylić się mogą... Pokazywałem ci pierścień Dyoklecjana...

Ninus powstał nieco uspokojony.

— Toć jam nie winien.. to on winien..

— Kto?...

— Boski Maksencyusz... Wczoraj kazał ją przyprowadzić przed swe oblicze i śpiewać na cześć bogini Izdy wraz z syryjskimi tancerkami... Ona w mowie Greków zaprzysięgła, że wierną pozostanie krzyżowi... że śpiewać, ani tańczyć na jego rozkaz nie będzie... Był pijany, zerwał się, pchnął ją, tak, że upadła do stóp marmurowej Izdy i niebezpiecznie w głowę się zraniła...

Wtedy kazał z niej boski syn naszego cezara w swej obecności zedrzeć szatki i srodze chłostać różgami aż dopóki zmysłów z bólu nie utraci... Gdy omdlała, tu ją przyniesiono...

— Tyran!... zabójca!... — szepnęła Celiusz, pełnem żalu spojrzeniem obejmując wątłą postać umarłej.

— Jakież to straszne.. okropne! — mówiła jedna z niewiast, odwracając lica i opierając się na ramieniu Aureliana. — Nigdy nie doznałem podobnego wzruszenia...

— Odejdźmy stąd, matko! — rzekła, chwytając jej rękę Walerya, dziewczica o kruczonych włosach, złotym spiętych nad czołem dyademem.

— Odejdźmy! — powtórzyła, jak echo Pryska, mająca w głosie i postawie urok i majestat królewski.

— Ninusie! — rozkazywał Aurelian — wyprowadź nas stąd... dość mamy widoku twoich gości... Jutro na arenie cyrkowej ujrzymy ich wszystkich... Pójdźmy!...

Ale Ninus stał jak wryty przy umarłej dziewczeczce i biadał:

— Maksencyusz... syn cezara... wpadnie w wściekłość... Sam kierował przygotowaniami... sam wybrał klatkę z panterami... Kazał przybrać ją kwieciami... Ta niezwyklej urody dziewczeczka, mieniąca się być królowną, miała uświetnić jutrzejsze widowisko... I czemuż umarłaś?...

Ale Aurelian położył ciężką dłoń na ramieniu dozorca więzienia i rozkazał:

— Dość tego!... Wierzaj mi, włos ci z głowy nie spadnie... Jest ktoś obecnie w Rzymie wyższy nad Maksymiana i jego syna... Dalejże, wyprowadź nas z tych lochów...

Już wychodzili, gdy nagle błagalny głos dał się słyszeć:

— Ireno!... dziecię moje jedyne...

Starsza z kobiet zatrzymała się we drzwiach więzienia.

— Nieszczęsny starzec! — szepnęła.

— Ireno!... światło oczu moich!... — dał się znów słyszeć głos starca, pełen rozpacz.

— Czyż on nie widzi, że daremnie woła?—zapytał Aurelian, zwracając się do Ninusa.

— Nie widzi, panie... Ten starzec już był męczony... Podczas pierwszego widowiska w cyrku, wydanego na cześć boskiego Dyoklecjana, przeprowadono go wraz z innymi chrześcijanami przez sztucznie urządzony las, którego drzewa napojono smołą... Na dany znak las ów podpalono i tych nieszczęsnych płomienie ogarnęły. Wtedy to starzec ten mieniący się udzielnym władcą jednej z wysp greckich, wzrok postradał... Ślepy bez ustanku wzywa córki swej... dziś już martwej...

— O, Celiuszu, to okropne! — rzekła starsza z niewiast...—Podaj mi ramię...

— A ty, Aurelianie, wesprzyj mnie!... — rzekła Walerya. — Miałeś słuszość, nazbyt silne wrażenie wstrząsnęły całym mem jestestwem... Czuję szum w głowie... Pójdźmy stąd co żywo!...

I kiedy wyszli z podziemi mamertyńskich i złociste światło dnia rozjaśniło ich źrenice, a powiew wietrzyka orzeźwił lica, szepnął Celiusz, nachylając się do swej towarzyszki, gdy właśnie do pozłocistej lektyki siadać miała:

— Imperatorowo!... uproś dziś łaskę u swego męża dla tego starca, który tam przy zwłokach córki swej pozostał...

— Jakiś ty dobry... Prawda, na dobre bogi nasze, toż ja zapomniałam, że mąż mój panem tej ziemi!... że obdarzać łaską ludzi — to rzecz bogów i jego...

— O, dzięki ci, pani, tyś słońcem dobroci... Więc mogę uwolnić tego starca...

— Uwolnij!... Dzień dzisiejszy byłby stracony marnie w mojem życiu, gdybym będąc świadkiem tak wielkiego cierpienia, nie starała się go zmniejszyć... Masz pierścień mój, okaż go straży więziennej, niech uczyni, co karzesz... Celiuszu, wiem, że władzy mej monarszej nie nadużyjesz...

— Ufaj mi, pani!...

I gdy oni w złotych lektykach zmierzali ku wzgórzom Kapitolu, gdzie stały królewskie pałace, on wrócił do ponurych podziemi więzienia.

W czas jakiś wracał, a wraz z nim niewolnicy, z których jedni nieśli w białe całuny owinięte ciało zmarłej dziewczeczki, a inni dźwigali nawpół nieprzytomnego starca, wciąż wzywającego po imieniu swej córki Ireny.

— Do pałacu mego spieszcie!...—rozkazywał młodzieniec, zwracając się do niewolników... — Po pięć sztuk złota każdy z was zarobi, jeśli pierwszej niżeli ja, będziecie w progach mojego domu.

Jakoż gdy lektyka Celiusza Fabiusza stanęła na jednej z ulic w pobliżu forum, już niewolnicy oczekiwali tam w przedsionku.

A był to przedsionek pałacu zbudowanego z takim przepychem smakiem, że niewiele podobnych ówczesny Rzym posiadał.

— Macie, com przyrzekł—rzekł Celiusz, wchodząc na marmurowe schody, przybrane w miękkie wschodnie kobierce.

To mówiąc, rzucił każdemu z niewolników przyobiecane złoto.

Gdy odeszli, otoczyli go domownicy, wraz z starym Markiem Kryspinem na czele, który Celiusza niemowlęciem na rękach swych piastował.

— Patrz, drogi przyjacielu, patrz... co na nas w te okropne dni prześladowania spada.. Patrz, mój drogi stary przyjacielu, i nie gniewaj się... Dzieweczkę godnie pochować trzeba... a starca opieką otoczyć należy...

I nachylając się do ucha Marka, rzekł szeptem:

— Zbawiciel to nasz nakazał!... Czyńmy to w imię Jego...

Ów przykląkł nad ciałem dziewczki, bacznie popatrzył w jej lica, przyłożył do skrwawionych skroni swe chude ręce i trzymał długo, nasłuchując.

— Martwa! — szepnął z żalem Celiusz — o, czemuż tych anielskich lic, tego czoła, w którym najpiękniejsze gwiazdy Bóg osadził, nikt już do życia nie zbudził!...

Ale starzec naraz powstał wzruszony, wołając:

— Hej, służba, przenieść to dziewczę na łóżo.. To nie śmierć jeszcze... nie śmierć!

---

## ROZDZIAŁ II.

Trzy dni Marek Kryspin i czcigodna żona jego Emilia czuwali przy łóżu, na którym walcząc między życiem a śmiercią, spoczywała ta cudnej urody dziewczka, przez oślepionego ojca swego zwana Ireną, a w tak niezwykły sposób wydarta z lochów mamertyńskiego więzienia.

— Żyje?... czy żyje?... — pytał Celiusz, zwracając twarz pobladłą i zaniepokojoną do starego Marka.

— Niechaj Ukrzyżowanemu Panu dzięki będą! — odrzekł tenże zniżonym głosem, aby słów jego nikt obcy nie dosłyszał — żyje i przysięgam na pamięć przodków moich, że żyć będzie!...

Lica Celiusza okryły się rumieńcem radości, w błękitnych oczach zajaśniało uczucie ogromnej wdzięczności.



— Ty ją uratowałeś, Marku! — rzekł wzruszonym głosem. Ach, jakżem ci wdzięczny... Gdyby nie twa wiedza, kto wie, czy tego najpiękniejszego kwiatu stworzenia nie kryłyby dziś zimne głązy grobowca... Marku, ty nie wiesz, ile ci wdzięczny jestem...

— Nie mnie, panie, dziękuj, jeno Bogu naszemu — odrzekł starzec. — On to umie z lwiej paszczy cało uwolnić niewinnego... On to duszom dobrym zakreslił drogi, których kierunku zwykły rozum nie odgadnie... O, widzisz, dostojny panie, ta dziewczeczka w śnie dziwnym była pogrążona... Nie można było powiedzieć, aby jeszcze iskra życia w jej sercu nie tłała, ale pozory mówiły, że umarła... Patrz, oddycha, chce coś mówić... Uciszymy się...

— Ojciec mój kochany! — dał się słyszeć wraz z lekkim westchnieniem szept zmarłych się budzącej, poczem otworzyły się jej źrenice i spotkały oczy Celiusza.

A jemu wydało się, że to niebo zesała na ziemię anioła i że ten nań spojrział wzrokiem niebian...

— Gdzie jestem? — dał się słyszeć głos cichy a słodki.

— Tam, gdzie i ojciec twój! — odrzekł cicho Celiusz.

— Ojciec mój drogi! — wyszeptła znowu dziewczeczka, chciała się podnieść, lecz wnet opadła na posłanie i omdlała.

Celiusz z rozpaczą chwycił za rękę Marka.

— Uspokój się!... odejź!... to dziewczę do zdrowia wróci, ale trzeba dlań ciszy i tylko ciszy... O, patrz, leciutki rumieniec już zabarwił jej liliowe liczka... Kilka dni upłynie, a rozmawiać z nią będziesz, jako dziś ze mną...

— O, drogi Marku! — zawołał z radością młodzieniec. — Wiedz, że ratując życie tego dziewczęcia i moje od zguby ocalasz...

Co rzekłszy, śpiesznie wybiegł z komnaty, gdyż trzykrotnie ktoś zapukał do bram jego pałacu.

Gdy wyszedł do przedsionka, ujrzał, jak niewolnicy otwierali złoconą bramę i jak w niej ukazał się Aurelian.

Był czemś mocno wzruszony, gdyż biegł szybko ku Celiuszowi.

— Drogi przyjacielu — rzekł, powitawszy młodego gospodarza — źle się w Rzymie dzieje...

— Cóż złego? — zapytał machinalnie Celiusz.

— Giniemy!... nowy świat powstaje... Wyobraź sobie, okazało się, że Celina, córka Kalpurniusza, wodza pretoryanów, przybocznej straży boskiego Dyoklecjana, wyznaje naukę Ukrzyżowanego... Uwięziono ją... Boski nasz władca skazał odstępczynię na śmierć... Nie pomogły zasługi ojca, ani stanowisko... Wraz z nędznymi niewolnicami wtrącono tę dziewczę szlachetnego rodu do lochów więziennych... Sam byłem świadkiem przed chwilą, jak boski nasz władca, uniesiony gniewem,



rzekł do cezara Maksymiana: „Żadnej łaski, żadnej litości, choćby to były nasze córki lub żony!.. Raz trzeba wygubić tę obrzydłą sektę chrześcijan, zaprzeczającą bóstwa nam — władcom tej ziemi, a zarazem Jowiszowi i Lzydzie!”... Mówiąc to, miał wzrok nieubłagany, w którym gorzały błyskawice gniewu. Toż samo przywodził Maksymian, uderzając po głowni miecza. „My — rzekł — albo oni... Toż ci chrześcijanie zaprzeczają nam bóstwa“...

— I cóż cię to tak przeraża? — zapytał Celiusz, siląc się na spokój.

— Celina była od dziecka przyjaciółką Waleryi..

— A więc Walerya, córka naszego boskiego Dyoklecjana, ją uratuje.

— Nigdy!... Waleryi nie poznają od pewnego czasu. Na wieść, że Celina została uwięziona, rzekła z westchnieniem: „O, czemuż mnie to nie spotkało!“ A gdy to mówiła, w przepięknych jej oczach łzy zabłyśły...

— A więc i ona jest chrześcijanką! — wyrzekł szybko Celiusz.

— Milcz, na Jowisza!.. nie wiesz, że temi słowy straszliwy wyrok na nią wydajesz.. Ona, córka Dyoklecjana, chrześcijanką!... Cały Rzym, od wschodu świata do zachodu, zadrżałby na te słowa... Dyoklecjan, Maksymian, Maksencjusz, arcykapłani, wodzowie nasi, wszyscy wydali jednomyślnie wyrok: „Śmierć tym, którzy są wyznawcami krzyża!“ Całe państwo rzymskie rozgorzało ogniem nienawiści do chrześcijan... Wielkorządcy prowincyi otrzymali rozkazy, aby wytępić tę sektę, zetrzeć jej wyznawców z oblicza ziemi... Edykt cesarski obwieszcza o tem na wszystkie strony świata...

— A więc biada chrześcijanom! — rzekł smutnie Celiusz.

— Mniejsza o nich — odrzekł zimno Aurelian — gdyby nie to, że rzucili jakieś straszliwe czary na Pryskę i Waleryę.. I owa wycieczka do więzienia mamertyńskiego, do której i my obaj byliśmy zaproszeni, to nie zwykły kaprys naszej władczyni... to nie zwykła chęć ujrzenia przestępców, gnijących w wilgotnych lochach...

— A więc podejrzewasz — przerwał Celiusz i umilkł, bo Aurelian szybko dodał:

— Podejrzewam, że żona boskiego Dyoklecjana i jego córka sprzyjają chrześcijanom, którym zagładę poprzysiągł Dyoklecjan i jego towarzysze...

Celiusz chwycił się za głowę.

— Nie, temu wierzyć trudno!..

Chciał dalej coś mówić, gdy nagle wszedł murzyn-niewolnik i z tajemniczą miną wręczył mu zwitek pergaminu.

— Kto cię przysłał?

— Ninus, pan mój! — odrzekł murzyn. — „Sprawa pilna!“... tak rzekł do mnie pan mój!

Celiusz rozwinął pergamin i szybko przebiegł go oczyma.

„Dostojny Celiuszu Fabiuszu — pisał dozorca więzienia mamertyńskiego — cześć ci i pozdrowienie. Ostrzegam cię, strzeż się boskiego Maksencyusza... Jeśli ci miłą pamięć i kamień grobowy owej dziewczeczki, której doczesne szczątki zabrali twoi ludzie z lochu więziennego, to otocz go tajemnicą, a ojca tej dziewczeczki wyślij za morze, bo zguba go czeka. Maksencyusz wpadł w szal, widocznie nazbyt Bachusowi cześć oddając; pijany zaklina się, że musi żywą czy umarłą ową dziewczeczkę, która nie chciała woli jego słuchać, dostać i żywą czy umarłą spalić... Już stos ze smolnego łuczywa kazał w pałacu swoim układać... Sam go ma podpalić, ułożywszy pierwaj na nim ciało owej, jak mniema, królowny zamorskiej... Wpadł w nie zwykłe sobie szaleństwa... Sam nie wie, w jaki sposób zabawić zgraję opojów i nikczemników, która go dzień i noc otacza... Złotą urnę kazał zrobić i w nią zamierza zsypać, własnymi rękami prochy po spaleniu ciała owej dziewczeczki... Obłąd dotknął boskiego Maksencyusza... Ale cóż my, śmiertelni, poradzimy przeciw niemu, kiedy bogowie potężni milczą?... Strzeż się, Celiuszu Flawiuszu, bo gdy się dowie przez szpiegi, że ty zabrałeś ciało owej dziewczeczki i ojcu jej w swym domu opiekę dałeś, niechybnie uczujesz ciężar szaleństw Maksencyusza na swej szlachetnej głowie. Oby cię bogowie strzegli!“ Ninus.

Celiusz jeszcze raz przebiegł oczyma to pismo i na chwilę bladość okryła jego lica.

— Z potworem zmuszony będę walczyć! — szepnął.

— O kogo?

— O tych dwoje, których przy pomocy pierścienia szlachetnej Pryski wyrwałem z otchłani lochów więziennych...

— Szalony!... Nie znasz Maksencyusza... Wyдай mu tych ludzi!...

— Nigdy!...

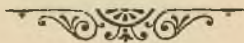
— A więc zginiesz!... On dziś wszechpotężny w Rzymie!

Wtem nowe uderzenia we drzwi pałacu Celiusza dało się słyszeć.

Przybył jeden z dworzan Dyoklecjana, przynosząc zaproszenie na igrzyska cyrkowe.

(D. c. n.)

*Stefan Gębarski.*



# **Historia ilustrowana Kościoła Świętego**

## **RZYMSKO - KATOLICKIEGO**

### **w obrazach i życiorysach.**

---

#### **Obraz X.**

#### **Herezye. Sobór w Nicei.**

Herezye wszystkie pochodzą z poduszczenia szatańskiego: odwieczny ów wróg panowania Bożego radby święte zasady Ewangelii i artykuły wiary wykrzywiać i opacznie tłómaczyć, aby Bóg nie był czczony i wyznawany w sposób, który jedynie mu jest miły i którego sam przez Syna Swego ludzi nauczył. Otóż szatan, sam przez pychę z nieba strącony, pychą zwykle człowieka kusić usiłuje; stąd pycha była zawsze pierwszą przyczyną upadku wszystkich heretyków, którzy w ciągu wieków jedność Kościoła Chrystusowego zrywali. Podobnież Aryusz, człowiek niespokojny i chciwy sławy, urodzony w Afryce roku 307, poświęciwszy się stanowi duchownemu zapragnął zostać aleksandryjskim patriarchą, lecz gdy na tę godność wyniesiono Aleksandra świętego, dał się unieść zawiści i obrażonej pysze i powstał przeciw niemu o błędy heretyckie go pomawiając, a sam tymczasem głosić począł przeciwne nauce Kościoła pojęcia.

Pozory skromności, które obłudnie na siebie przybierał, wiek jego niemłody, postać wychudzona o długich umartwieniach świadcząca, zy-

skiwały mu wielu stronników. Z początku nieznacznie, później coraz jawniej przeczyć zaczął Bóstwu Chrystusowemu i dowodzić, że Syn Boży nie jest we wszystkim równy Bogu Ojcu. Święty patriarcha Aleksander używał długo łagodności i ojcowskich upomnień, aby zwrócić nieszczęśliwego z drogi zatracenia, lecz widząc, jak się szerzyła nowa nauka coraz bardziej, zebrał wszystkich starszych duchownych swej dyecezyi i solennie rzucił na Aryusza klątwę kościelną, a zarazem doniósł o wszystkim papieżowi, i do biskupów katolickich rozpisał listy z wieścią o nowem grożącym Kościołowi niebezpieczeństwie.

Aryusz tymczasem chytrą i przebiegłą, jednak sobie coraz więcej stronników, rozszerzał między ludem pieśń, niby to pobożne, przepełnione zasadami heretyckimi, starał się nawet zyskać poparcie kilku biskupów zachodniej Azji, których mu się na stronę herezyi przeciągnąć udało, i rozszerzał wiele pism zgubnych w formie listów do młynarzy, do żeglarzy, do pielgrzymów. Napróżno cesarz Konstanty usiłował przywrócić Kościołowi pokój, Aryusz i jego stronnicy pozornie tylko poddawali się rozporządzeniom jego, a jad nauk swoich coraz bardziej szerzyli skrycie. Wówczas to zwołany został sobór nicejski. Gdy wobec poważnego zgromadzenia trzystu ośmnastu biskupów ośmielił się Aryusz naukę swą bezbożną wypowiedzieć, zerwali się z krzesel zastępcy Apostołów, z najwyższem oburzeniem uszy sobie zatykając. Jednogłośnie nauka bluźniercza potępioną została, przeciwstawiono jej księgi Pisma świętego i zdanie pierwszych Ojców Kościoła. Sobór uznał Chrystusa Pana: „Bogiem z Boga, światłem z światłości, Bogiem prawdziwym z Boga prawdziwego, zrodzonym, nie stworzonym, współistotnym Ojcu.“ W tych silnych wyrazach określone zostało Bóstwo Chrystusa Pana i równość jego we wszystkich z Ojcem, aby ostatecznie potępić naukę Aryan, niezmiernie biegłych w łapaniu za słówka i przekręcaniu znaczenia wyrazów. Podpisawszy wyznanie wiary nicejskie, ojcowie klątwę rzucili na Aryusza i stronników jego, a władza świecka skazała go na wygnanie.

Po jakimś czasie jednakże Aryusz zdołał wpływami i intrygami swemi otrzymać odwołanie wyroku tego, następnie udał się do cesarza i wraz z kilku pobożnymi biskupami aryańskimi w tak strasznych kolorach przed nim odmalował świętego Atanazego, który po śmierci Aleksandra świętego wstąpił był na biskupią aleksandryjską stolicę, iż świętobliwy a prosty pan, uwierzywszy mu, skazał znamienitego Ojca Kościoła na wygnanie.

Aryusz starał się powrócić do Aleksandryi, lecz go lud wierny nie wpuścił do miasta, udał się więc powtórnie do Konstantynopola i wy-



mógł na cesarzu, iż tenże kazał Aleksandrowi, patriarsze konstantynopolitańskiemu, aby go przyjął do uczestnictwa swego Kościoła. Długo opierał się temu świętobliwy biskup, który nie posiadał wielkiej nauki i czuł, że go łatwo chytry nieprzyjaciel w pole wywieść potrafi. Modlił się więc gorąco wśród postów do Boga, aby nie dopuścił skalania świątyni swojej tak okropnem świętokradztwem. Tymczasem Aryusz, opatrzone wyraźnym cesarskim rozkazem, siedł już do kościoła w liczmem gronie współwyznawców swoich, gdy nagle na rynku wielka bojaźń i słabość go ogarnęła, oddalił się więc na chwilę na osobne miejsce, skąd gdy długo nie wracał, weszli tam jego towarzysze i znaleźli go nieżywego z wyrzuconemi z siebie wnętrznościami r. 336. Miejsce to stało się od tego czasu miejscem grozy, nikt doń zbliżać się nie śmiał. Cesarz, silnie tym wypadkiem uderzony, postanowił odwołać z wygnania ś-go Atanazego.

Bezbożna nauka Aryusza nie zaginęła z nim razem, lecz przez długi czas jeszcze była przyczyną utrapień dla Kościoła Bożego. Syn Konstantego Wielkiego—Konstancyusz, który po śmierci braci swoich, sam nad całym cesarstwem rzymskiem panował, był arianinem i prześladował wiernych Chrystusa wyznawców, zwłaszcza biskupów, w całym swem państwie. Ś-ty Atanazy wówczas mężnie bronił przeciw niemu Kościoła Bożego na wschodzie, a na zachodzie podobnie nieustraszonem męstwem odznaczył się ś-ty Hilary, łaciński ojciec Kościoła, biskup z Poitiers we Francyi. I on nie uniknął prześladowania, wygnanym został do Azji Mniejszej, tam wezwany na zjazd arian, niemogących się zgodzić między sobą co do własnej nauki, miał sposobność publicznie ich pokonać. Rzekł do nich między innemi te słowa, do wszystkich herezyi mogące się zastosować: „Przywódcy wasi zmieniają co chwila swe wyznania wiary czyli symbole, bo wiara ich nie jest wiarą Ewangelii, lecz wiarą przypuszczeń i domysłów. W ciągu jednego roku przeszłego, cztery razy zmienili swój symbol, u nich wiara w ślad idzie za kaprysami woli, a naukę zmieniają jak odzież. Wspominają wprawdzie o Piśmie ś-tym i wierze apostoelskiej, ale czynią to tylko, aby słabych w błąd wprowadzić i szkodzić nauce katolickiego Kościoła.” Podczas gdy ś-ty Hilary, na wschód wygnany, dzielnie bronił wiary świętej, — rozszerzał ją na zachodzie najśłynniejszy z uczniów jego, z pogaństwa nawrócony ś-ty Marcin Wielki, założyciel pierwszego klasztoru w Galii. Został on biskupem w Tours i nawrócił mnóstwo pogan, którzy wynagrodzili Kościołowi Bożemu działki utracone przez arianizm. Ś-ty Frumencyusz poniósł pochodnię wiary do Abisynii w Afryce, a chrześcijańska niewolnica nawróciła w Hiszpanii naród Iberów, których potomkami są dzisiaj Baskowie.

Śmierć cesarza Konstancyusza w 361 r. odjęła arianom główną ich podporę, trafiali się jednakże później cesarze aryańscy i herezya ta szerzyła się wśród barbarzyńskich ludów; Wizygotów przez biskupa Ulfilasa z pogaństwa nawróconych koło 441 r., Gotów, wśród Wandalów, Suewów i Longobardów. Gdy i tu zaginał arianizm z biegiem czasu, pojawił się znowu w XVI wieku w Europie, a mianowicie w Polsce, gdzie mu Piotr Skarga, jezuita, zadał cios śmiertelny.

(D. c n).





Najdawniejszy widok Lublina z roku 1618.





# WOLNOŚĆ WIARY.

**Jego Dostojność biskup lubelski ksiądz Franciszek  
Jaczewski.**

O mieście powiatowem Krasnymstawie, leżącym nad rzeką Wieprzem, tam, gdzie do tej rzeki wpada Żółkiewka, tworząc głęboki i szeroki jar, które to miasto z kolei po Łopienniku odwiedził Pasterz, mamy wiadomości następujące:

Pierwotnie istniał tu nad brzegiem Wieprza gród warowny, jakie zwykle spotyka się przy zbiegu rzek. Kazimierz Wielki miał tu wznieść zamek murowany, a dla zabezpieczenia fos onego od braku wody, w razie opadnięcia poziomu Wieprza, kazał wykopać staw, podobnie jak w Nowym Korczynie. Nad stawem, pod osłoną zamku, zaczęła się tworzyć osada, która otrzymała nazwę Krasnego Stawu, chociaż istniała na gruncie wsi Szczekarzowa. W r. 1394 król Władysław Jagiełło nadał Stanisławowi z Kozic wójtostwo w Szczekarzowie z prawem dziedzicznym i z pozwoleniem założenia miasta. Istniał tu już wtedy kościół parafialny pod wezwaniem Wszystkich Świętych, który Jagiełło uposażył w r. 1410. Król ten, złamawszy nogę na łowach w puszczy Białowieskiej, leczył się tu w r. 1426. Król Kazimierz Jagiellończyk, na prośbę Stanisława z Przybysławic, wójta szczekarzowskiego, potwierdził w r. 1462 przywilej ojca (Władysława Jagiełły) już dla miasta zwanego Krasnym Stawem.

Na podniesienie miasta wpłynęło wiele przeniesienie w r. 1490 stolicy biskupiej chełmskiej z Hrubieszowa, co dokonał biskup Maciej z Łomży. Król Zygmunt I ustanowił tu w r. 1518 skład soli, z pozwoleniem pobierania od niej pewnej opłaty dla miasta. Tenże król w r.

1524 potwierdził wszystkie dawne przywileje miejskie, udzielił oraz mieszczanom prawo warzenia piwa, palenia wódki i szynkowania wszelkich trunków, a dochód z mostowego dla rajców przeznaczył. W r. 1540 uwolnił mieszczan od dawania podwód.

W r. 1542, mieszczanie obrządku wschodniego otrzymali od króla Zygmunta Augusta pozwolenie na budowę cerkwi, która też nad Wieprzem niedaleko zamku stała. Tenże król zwołał tu w r. 1558 senatorów i szlachtę, lecz z powodu nielicznego zebrania, obrady przeniesiono do Piotrkowa. W r. 1578 król Stefan Batory zabronił Żydom osiadać w mieście, a chrześcijan obu obrzędów porównał co do piastowania urzędów miejskich. Krasnystaw wtedy posiadał 205 domów murowanych, 73 ogrody, 24 jatki rzeźnicze i tyleż kramów szewckich.

W r. 1588 osadzony został w zamku krasnostawskim, pod strażą Marka Sobieskiego, arcyksiążę austriacki Maksymilian, wzięty w niewolę przez Jana Zamoyskiego pod Bieczyną. Siedział tu cały rok, odwiedzał go hetman Zamoyski i sam król Zygmunt III. Monarcha ten zatwierdził dawne przywileje miasta i zalecił, aby każdy kupiec, jadący z Wołynia i Podola przez Chełm, Horodło i Hrubieszów, obierał drogę na Krasnystaw i zatrzymywał się w nim z towarami przez dni 4. Król Jan Kazimierz uwolnił Krasnystaw od kwaterunku wojsk. W wieku XIV i XV istniały w Krasnymstawie cechy: szewcki, rzeźniczy, krawiecki, ślusarski, kowalski, siodlarski, złotniczy, mieczników, kuśnierski i płócienniczy.

W XVII stuleciu miasto zaczyna upadać. W r. 1616 posiada już tylko 140 domów. Morowa zaraza, wojny szwedzkie, ucisk starostów, z którymi miasto długie spory wiodło, zniszczyły resztę pomyślności. Zamek poszedł w ruinę. Jeszcze w r. 1816 stały dwie całe jego ściany, dające pojęcie o budowie. Mury miejskie też niszczały, pozostał z nich zaledwie szczątek. Stara cerkiew z XVI w. poszła w ruinę. Pierwotny kościół parafialny katolicki, później przez lat 300 katedralny, odnowiony w połowie XVII stulecia przez Macieja Łubieńskiego, biskupa chełmskiego, został w XVIII wieku rozebrany, z powodu zrujnowania. Kościół i klasztor Augustyanów, wzniesiony pono w r. 1503, został obrócony na koszary, a na to miejsce rząd wystawił nowy kościół i klasztor za miastem, pomiędzy r. 1826 a 1839. Istniał tu również kościół i klasztor Bonifratrów przy szpitalu, fundowany w roku 1677 przez Michała Świeskiego, sufragana chełmskiego.

Jedyny, obecnie istniejący kościół został wzniesiony dla Ojców Jezuitów, wraz z kolegium, w r. 1695, przez Annę Krystynę Potocką, małżonkę Feliksa, hetmana wielkiego koronnego i kasztelana krakowskiego. Budowniczym był Jan Hus, Węgier. Obrał on za wzór kościół Ś-go Piotra w Rzymie i wzniosł w środku olbrzymią kopułę, o dwóch

piętrach, z oknami i gankiem żelaznym wewnątrz. Kopuła ta zawaliła się w r. 1849, uszkadzając sklepienie i posadzkę kościoła. Na jej miejsce dano sklepienie murowane. Do tego kościoła przeniesiono, po skasowaniu Jezuitów w r. 1776, katedrę biskupią, która tu istniała aż do roku 1826, potem przeniesiono ją do Lublina. W r. 1880 kościół ten ze składek parafian został odnowiony gruntownie i przyozdobiony wewnątrz. Z dawnych pamiątek przechowały się tu portrety fundatorów i ich rodziny, oraz kilka grobowców; z tych najokazalszym jest grobowiec Jana Krasińskiego, sufragana chełmskiego, zmarłego i pochowanego



Rodzina Ziętków ze wsi Pletrzkowa, w powiecie lubelskim.

we Frauenburgu, w Warmii, r. 1763. Ratusz tutejszy spłonął w r. 1878. W Krasnymstawie urodził się Antoni Oleszczyński, słynny rzeźbiarz i rytownik, oraz Stanisław Pilat, znany dziejopis polski.

Kapłan, towarzyszący w podróży Dostojnemu Pasterzowi, nadmienia o Krasnymstawie:

Król Władysław Jagiełło wznosił w obrębie zamku krasnostawskiego kościółek Ś-ej Anny, w tem mianowicie miejscu, gdzie dziś są koszary nad Wieprzem. W miejscu, gdzie dziś poczta, król Zygmunt August w r. 1542 wybudował kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy. Świątynia ta przechodziła różne koleje, wreszcie w r. 1811 zgorzała od



pioruna, a w r. 1819 resztę murów rozebrano. W rynku była kaplica drewniana Przemienienia Pańskiego, zbudowana około r. 1758. Zniesiono ją w r. 1875. Kościół pod wezwaniem Ś-tego Kajetana, wymurowany przez Kazimierza Jagiellończyka, stanął na miejscu kościoła Wszystkich Świętych. Gdy w r. 1490, biskup chełmski, ks. Maciej z Łomży, przeniósł katedrę biskupią z Hrubieszowa do Krasnegostawu, kościół Ś-go Kajetana zamienił na katedralny i takim on pozostawał aż do r. 1781, w którym, po kasacie Jezuitów, katedrę przeniesiono do obecnego kościoła, zostającego pod wezwaniem Ś-go Franciszka Ksawerego.

Z Krasnegostawu podążył Dostojny Pasterz do Tarnogóry, gdzie obecnie nad parafią ma pieczę gorliwy proboszcz, ksiądz Walenty Gołński.

Tarnogóra, z przedmieściem Izbicą, dziś osada a dawniej miasteczko, leży na lewym brzegu Wieprza, na wyżynie, wchodzącej ostro zakończonym brzegiem w podmokłą dolinę tej rzeki. Na przeciwnym brzegu Wieprza leży Izbica, połączona z Tarnogórą mostem. Miasto Tarnogórę założył w r. 1548 za przywilejem króla Zygmunta I, na obszarze wsi Ostrzyce, należącej do starostwa krasnostawskiego, Jan Tarnowski, hetman i kasztelan krakowski. Przywilej ten dawał miastu dwudziestoletnią wolność, prawo niemieckie, targi i jarmarki. W roku 1552 Tarnogóra jest własnością Jana Osieckiego, kanclerza koronnego. Królowie Zygmunt August i Stefan Batory potwierdzają przywileje miasta. Jan Tarnowski założył tu kościół i parafię w 1544 r. W roku 1570 było tu 229 domów, lecz wojny często niszczyły miasto. Kościół obecny pochodzi z końca XVII wieku. W połowie tegoż wieku powstało starostwo tarnogórskie niegrodowe, zaliczone do województwa ruskiego, a ziemi chełmskiej. W r. 1771 posiadał je Antoni Granowski, ożeniony z Antoniną z Wolstejnów. Obecnie dobra Tarnogóra są własnością państwa Czyżewskich. Wspomniany wyżej towarzysz podróży Jego Dostojności pisze o kościele tarnogórskim:

Niegdyś kościół ten znajdował się w Ostrzycy, wiosce odległej od Tarnogóry, w Tarnogórze zaś, już w skutek położenia naturalnego dosyć obronnej, była od najdawniejszych czasów strzelnica (zapewne rodzaj baszty z otworami do strzelania, w razie napadu nieprzyjaciela?). Gdy z biegiem czasu stała się ona zbytęcną, Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, przybudował w r. 1544 do niej nawę kościelną, owa strzelnica stała się zakrystią. W ten sposób wzniesiony kościół murowany zastąpił walący się kościół drewniany w Ostrzycy, stał się parafialnym. W r. 1871 proboszcz ówczesny, ks. kanonik Feliks Troszczyński przebudował go. Wybito ścianę w zakrystyi, tworząc z niej presbyteryum, przybudowano skarbiec, zakrystyę i babiniec. W tym również roku, ksiądz Walenty Baranowski, biskup lubelski, kościół pokonsekrował.



Świątynia ma obecnie jedną tylko nawą sklepioną, utrzymana jest we wzorowym porządku.

Po Tarnogórze przyszła kolej na miejscowości, należące do ordynacyi Zamoyskich, więc najprzód na Stary Zamość. Wieś ta, nad strumykiem bez nazwy, stanowiącym dopływ Topornicy, posiada kościół pa-



Absyda kościoła Ś-go Stanisława (po - dominikańskiego) od strony Podwała, w Lublinie.

rafialny pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. W r. 1551 świątynię ową, Stanisław Zamoyski, kasztelan chełmski, ojciec Jana, prześlawnego hetmana i kanclerza, będąc sam kalwinem, zmienił na zbór kalwiński. Jan, który już w wieku młodzieńczym błędów kalwińskich się wyrzekł, odnowił go i w r. 1592 oddał powrotnie na użytek katolików. Konsekracyi wtedy, według obrządku rzymsko-katolickiego, do-

pełnił ks. Stanisław Gomuliński, biskup chełmski. Odnowiono go w r. 1847, o czem towarzysz podróży Dostojnego Pasterza tak pisze: „Ponieważ wkrótce okazał się na potrzeby parafii starozamoyskiej zbyt szczupłym, parafianie postanowili go powiększyć. Polecono budowniczemu przygotować odpowiednie plany i kosztorysy, sumę anszlagową, 14 tysięcy 851 rubli, na zebraniu parafialnem jednomyślnie zobowiązano się złożyć, wybrano komitet z kilkunastu włościan, pod kierunkiem p. Jana Suchodolskiego, dzierżawcy Starego Zamościa i robót dokonano, a mianowicie: przybudowano dwie kaplice i presbyteryum, przez co nadano kościołowi formę krzyża. Suma anszlagowa nie wystarczyła, lecz znaleźli się chętni ofiarodawcy. Do nich, oprócz ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego, należeli przedewszystkiem: włościanie: Michał Niedziela, Jadwiga Pawelczycha, Marcin Sobów, Jan Bencel, proboszcz miejscowy ks. Mikołaj Gozdalski, p. Karol Namysłowski i inni. Kiedym oglądał szczegółowo kościół, jeden z włościan powiedział:

— Gdybyśmy mieli dwóch panów Namysłowskich w parafii, o wewnętrzne przyozdobienie kościoła możnaby było nie kłopotać się wcale.

I mówił prawdę. Rzuca się w oczy piękna boczna kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej. Ołtarz prześliczny, w nim obraz w bogatej sukni, przed ołtarzem piękna, żelazna krata i dwa ogromne, artystycznej roboty, żelazne świeczniki. Na ścianach obrazy olejne, przedstawiające dzieje obrazu jasnogórskiego. Znajduje się tam jeszcze we wspianych ramach, naśladowujących ołtarzyk, obraz Matki Boskiej Berdyczowskiej. Wszystko to jest darem p. Namysłowskiego. W ołtarzu wielkim duży, piękny obraz Ś-tej Cecylii — to sprawił p. Namysłowski. Śliczne ogrodzenie (balustrada) na chórze — znowu p. Namysłowski. W nawie głównej prześliczny ołtarzyk, z wizerunkiem Matki Boskiej Ostobramskiej, a na srebrnym półksiężycu czytamy:

„W dowód szczerej wdzięczności, ja, niżej podpisany, spółnie z p. Stanisławem Błażewiczem, w imieniu parafian ofiaruję w błogosławieństwie dla szlachetnego p. Karola Namysłowskiego obrazek Najświętszej Maryi Panny Ostobramskiej, za jego szlachetną i bezinteresowną pomoc w wydaniu koncertu, w dniu 14 października 1902 r. w Wilnie, na odnowienie kościoła Ś-tych Apostołów Piotra i Pawła na Antokolu. Ksiądz Franciszek Zawadzki, proboszcz tegoż kościoła i syndyk (opiekun) St. Błażewicz.”

Z drugiej strony nawy, w ołtarzu, sprawionym przez włościanina Michała Niedzielę ze wsi Wierzby, piękna rzeźba Pana Jezusa Bractawskiego — to wotum p. Namysłowskiego, za ocalenie jego i jego kapeli od śmierci na kolei pod Żmerynką przed dwoma laty. Kosztowne figury, piękna chorągiew i wiele, wiele jeszcze przedmiotów — znów dary p. Namysłowskiego.“

Tu objaśnimy, że p. Namysłowski, obywatel ziemski, zamiłowany muzyk, wyuczył gromadę włościan gry na rozmaitych instrumentach i utworzył z nich kapelę, z którą jeździ po kraju. Włościanie muzykanci grają na podziw doskonale, osobliwie zaś swojskie melodye: mazury, obertasy, krakowiaki i kujawiaki.

Następnie, po drodze do miasta Zamościa, zatrzymał się Pasterz w Sitańcu, wsi leżącej w dolinie nad rzeką Łabuńką. Parafia to bardzo dawna. Istniała, wraz z kościołem Ś-go Bartłomieja, już przed r. 1485. Kościół obecny, drewniany, fundowany przez Annę Zamoyską w 1698 r., konsekrowany był przez Deodata, biskupa lwowskiego, ob-  
rządku ormiańskiego. Małeństwo to żadną miarą nie może wystarczyć dla parafii, liczącej 5,594 wiernych.



## **Pamiętki po Pięciu Braciach Męczennikach w Bieniszewie i Kazimierzu Biskupim.**

---

Niedawno w Kazimierzu Biskupim odbyły się wspańałe uroczystości kościelne, celem uczczenia pamięci Pięciu Braci Męczenników w dziewięćsetną rocznicę ich męczeństwa. Żywot Pięciu Braci podaliśmy temu dwa lata w „Dzwonku” naszym; obecnie więc streścimy go tylko pokrótce, natomiast trocha obszerniej opowiemy o pamiętkach, jakie się po Męczennikach przechowały.

A najprzód musimy sprostować błędne mniemanie, dające się spotykać nawet w nowych pracach, traktujących o Pięciu Braciach Męczennikach, jakoby oni należeli do zgromadzenia Kamedułów. Błąd ten wykazali zawodowi dziejopisowie, pomiędzy zaś nimi zasłużony badacz dziejów Kościoła polskiego, Tadeusz Wojciechowski. Z wyjaśnień tego badacza i innych dowiedzieliśmy się, że Kameduli zjawili się w Polsce dopiero w siedmnastym stuleciu, Bracia Męczennicy zaś byli eremitami (pustelnikami) reguły Ś-go Romualda, czyli Benedyktynami włoskimi o ostrzejszej regule. Przybyli oni do Polski w r. 1001 i kwitli u nas nie dłużej, jak do początku XII wieku. Sprowadził ich król Bolesław Chrobry, „przyjął ich pełnem sercem, osadził w pięknym borze dyecezyi poznańskiej, zbudował dla nich cele pustelnicze i kościół na razie drewniany, uposażył ich i wyznaczył im ludzi do obsługi.” Król Bolesław też stał się mimowoli powodem męczeństwa pięciu tych pustelników w taki mianowicie sposób:

Rzeczony monarcha polski, wzrosłszy w potęgę, zapragnął ją oprzeć na trwałym fundamencie. Fundamentem owym mogła być tylko korona królewska, przyznana mu przez Stolicę Apostolską. Postawiłaby go ona na równi z królem niemieckim, który wówczas jeszcze cesarskiej godności nie otrzymał. Bolesław więc marzył o koronie i w celu jej uzyska-





**Klasztor po-Bernardyński w Kazimierzu, dyecezyj Kujawsko-Kaliskiej.**



nia zamyślił wyprawić poselstwo do Rzymu, a na posłów wybrał pustelników, z Włoch sprowadzonych. Dlaczego taki wybór uczynił? Oto dlatego, że sprawa wymagała ścisłej tajemnicy, gdyby się bowiem monarcha niemiecki Henryk o niej dowiedział, nie omieszkaby wszelkimi siłami przeszkodzić Bolesławowi do osiągnięcia zamiaru. Ubogi mnich-pustelnik nie ściągnąłby na siebie podejrzeń, iż w sprawie politycznej posługuje. Bolesław tedy przybył do pustelni, rozmówił się z zakonnikami i prosił ich, aby jednego z pomiędzy siebie wybrali na posła do Rzymu. Chcąc zaś zjednać skutek niezawodny prośbie swojej, obiecał płacić Stolicy Apostolskiej corocznie świętopietrze, to jest podatek chrześcijański, na znak swojej miłości i wierności dla Kościoła. Na pierwszy raz posyłał znaczną bryłę złota.

Wymawiali się pustelnicy, że nie przystoi im wdawać się w sprawy światowe, w końcu jeden z nich, Barnaba, podjął się poselstwa, wyszedł z pustelni w świat, pod pozorem, że chce więcej do Polski sprowadzić Braci Ś-go Romualda. Atoli nie ukryła się ta rzecz przed służbą królewską, ani przed okolicznymi mieszkańcami. Rozeszła się wieść, że król zostawił u mnichów wielkie skarby. Napadli więc na pustelnię jednej z następnych nocy rozbójnicy. Zdaje się jednak, że to nie była prosta chęć łupu, jeno pogańska zaciekłość. Bo wówczas wielu jeszcze pogan znajdowało się w Polsce. Ci tedy poganie, powodowani nienawiścią do mnichów-pustelników, którzy szerząc światło wiary Chrystusowej, tępiłi jednocześnie zabobony pogańskie, — napadli na świętobliwych mężów, zamordowali pięciu z nich: Jana, Benedykta, Mateusza, Izaka i Krystyna. Skarbu nie znaleźli, bo go uwiózł z sobą Barnaba.

Bolesław, który podówczas znajdował się w Gnieźnie, przybiegł natychmiast na miejsce zbrodni, bo taki porządek w królestwie swoim ustanowił, że o wszelkich wypadkach, bliższych i dalszych, krajowych i zagranicznych, w nocy nawet się dowiadywał. Z rycerstwem, z dworzanami, z mieszkańcami gmin pobliskich las zaraz otoczył i szukał pilnie rozbójników. Podania prawią, że rozbójnicy błakali się noc całą i trafić nie mogli po za obręb lasu, a ręce ich moc nadprzyrodzona skulała z mieczami, któremi zamordowali pustelników. Król natychmiast kazał ciała zamordowanych przenieść do kościoła w Gnieźnie. Nowi męczennicy zasłynęli w Polsce, jako ofiary zaciekłości pogańskiej. Pierwszy cud spełnili nad zbrodniarzami. Król bowiem polecił przyprowadzić ich do zwłok zamordowanych, aby głodną śmiercią pomarli. Lecz zaraz spadły ze zbrodniarzy okowy, za wszechmocą Bożą.

Barnabie także się nie powiodło. Uwiadomiony o jego podróży Henryk niemiecki wszędzie porozstawiał straż, dla schwytania języka, jakie to poselstwo wyprawiał Bolesław do Rzymu. Popadł więc Barnaba w ręce Niemców, a zawrócony do Polski, oplakiwał Braci i za-

zdrościł im męczeństwa. W nowowystawionej chacie żywot ostry prowadził, wraz z nawróconymi zabójcami Braci, a kiedy umarł, Bolesław kazał zwłoki jego złożyć obok męczenników, dla których uczczenia wystawił pięć małych kościolków, w miejscu ich męczeństwa.



Kapliczka pamiątkowa z cudownem źródłem w Kazimierzu,  
dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej.

Tak o Pięciu Braciach Męczennikach opowiadają dzieje. Pisarze kościelni przedstawiają rzecz trochę inaczej, co jednak nie zmienia treści zasadniczej zdarzenia. Również nie wpływa na treść zasadniczą zdarzenia ta okoliczność, że rok męczeństwa Braci nie został jeszcze ściśle ustalonym. Dziejopisowie tej miary, jak Szajnocha, Wojciechowski, ksiądz profesor Szcześniak utrzymuje, że Bracia zamordowani zostali



w roku 1003; podania zaś klasztorne, Długosz, Bartoszewicz, a ostatnio ksiądz Małachowski wskazują rok 1005.

Zaznaczywszy to, przystępujemy do opisu pamiątek po Pięciu Braciach Męczennikach, trzymając się wskazań ks. Małachowskiego i Bronisława Chlebowskiego.



Wnętrze kapliczki pamiątkowej z cudownym źródłem w Kazimierzu, w diecezji Kujawsko-Kaliskiej.

Otóż Bracia Eremici reguły Ś-go Romualda, przybywszy do Polski, osiedli początkowo w Trzemesznie, a następnie, gdy wybuchła wojna z Niemcami, schronili się w miejscowości lesistej i jeziorzastej, gdzie dziś wznosi się miasteczko zwane Kazimierzem Biskupim. Tu zamieszkali w ubogich szałasach, nabożeństwo zaś odprawiali z początku w cel-

ce Jana i Benedykta, jako najobszerniejszej, na którym to miejscu dziś stoi kościół i klasztor kazimierski, zbudowany w r. 1514 dla Bernardynów. Z biegiem czasu wzniesli kościółek na wzgórku. Prowadzili żywot bardzo ostry. Dni i noce spędzali na modlitwie, za posiłek służyły im korzonki i jagody leśne; dwa razy na tydzień spożywali po kawałku chleba, a w wielkie święta odważali się na kawałek łososia, którego Bóg im cudownym sposobem w małej studzience rozmnażał. Po zamordowaniu Pięciu Braci, król kazał na miejscu ich męczeństwa, obok szafasu Mateusza, wybudować kościół. Miał ten kościół maleńki trzy ołtarze marmurowe, z których atoli śladu dziś niema. Wybudowano nadto w pustelni klasztor męski i żeński, oraz nowe celki dla pustelników. Bo zakon ich po zamordowaniu Pięciu Braci nie tylko nie upadł, ale zwiększył się znacznie. Barnaba jednak nie pozostał w pustelni. Przeniósł się z nawróconymi zbójcami do Tęgiego Boru, gdzie dziś wieś Bieniszew. Zwłoki Pięciu Braci Czesi, napadłszy Polskę, uwieźli z Gniezna do swej Pragi i dopiero po długim czasie wróciły one do Polski.

Zawiazkiem tedy dzisiejszego Kazimierza była owa pustelnia, w której śmierć poniosło Pięciu Braci i w której stanęły świątynie i klasztor. Ale burze wojenne zniszczyły te fundacye. Wzniósł je na nowo król Kazimierz, zwany Mnichem albo Odnowicielem. On też na miejscu pustelni założył miasteczko, które od swego imienia Kazimierzem nazywał. Z czasem zaczęto je nazywać Kazimierzem Biskupim, gdyż przez czas długi należało do biskupów lubusko-halickich. Ci w r. 1504 sprzedali miasto Mikołajowi Lubrańskiemu, wojewodzie poznańskiemu, przyrodniemu bratu Jana Lubrańskiego, biskupa poznańskiego. Lubrańscy założyli w Kazimierzu kościół i klasztor Bernardynów, na miejscu celi Jana i Benedykta. Kościół ten nosi tytuł Śgo Jana Chrzciciela i Pięciu Braci Męczenników; w nim przechowują się relikwie Braci, zwrócone z Czech w XVI dopiero wieku.

Kazimierz z biegiem czasu wzrósł, rozbudował się na 12 pagórkach i zaludnił. Pamięć o Braciach wciąż się w nim przechowywała. Pobożni mieszkańcy odbudowywali z wieku na wiek kapliczki na miejscach męczeństwa, o ile na nich nie powstawały kościoły murywane. Kościół, zbudowany na miejscu celi Mateusza przez Bolesława Chrobrego, przetrwał do dziś, jako parafialny. Przed laty kilkunastu odbudował go i powiększył ś. p. ks. kanonik Willant, a obecnie staranie go utrzymuje ks. proboszcz Antoni Grobliński. Kościół i klasztor Bernardynów również do dziś przetrwał. Kaplica na miejscu celi Izaaka jest obecnie kościołkiem cmentarnym. Kaplicę Krystyana rozebrano przed dwudziestu kilku laty. Na jej miejscu stoi krzyż drewniany, tak samo, jak i na miejscu kaplicy Barnaby.

Kzimierz był widownią wielu doniosłych zdarzeń dziejowych. Tu stracony został Jan Reinhold Patkul. Infantczyk ten, gorliwy niegdyś obrońca praw swego kraju w Sztokholmie, przeszedł potem w służbę cesarza rosyjskiego Piotra. August II, król polski, powziąwszy przeciwko niemu podejrzenie, jakoby na szkodę Polski działał, wydał go królowi szwedzkiemu, Karolowi XII, swemu podówczas sprzymierzeńcowi, który Patkula w Kazimierzu stracić kazał, przez łamanie kołem i ćwiartowanie, na łące, za klasztorem Bernardynów. Na miejscu stracenia po dziś dzień leży kamień z napisem: „Patkul, 10/X 1707.“ Od czasu wojen szwedzkich Kazimierz zaczął chylić się ku upadkowi. Przechodząc różne koleje, obecnie jest własnością Ignacego hr. Mielżyńskiego z Iwna.

(D. n.)



## Nowiny z Częstochowy.

---

**J. E. ks. biskup Kujawsko-Kaliski, Stanisław Zdzitowiecki** przybył na Jasną Górę w dniu 12 października dla odbycia ćwiczeń duchownych, zwanych rekolekcjami, czego dopełniwszy Dostojny Pasterz wyjechał w dniu 17 tegoż miesiąca.

**Ks. Sermas, kapłan chaldejski, na Jasnej-Górze w Częstochowie.** We wrześniu odwiedził naszą redakcję gość z bardzo dalekiego kraju, bo z Persyi, ks. Sergiusz Sermas, kapłan katolicki obrządku chaldejskiego. Urodzony w wiosce Karadżalu, w perskiej prowincyi Urmia, miał rodziców niekatolików, gdyż ojciec jego wyznawał presbyteryanizm, matka zaś była nestoryanką. Sam ksiądz Sermas, osierocony bardzo wcześnie, bo w 4 roku życia, początkowo był wzięty do szkoły protestanckiej i tam nauczono go czytać po chaldejsku.

Mając lat 11, dobrowolnie już przeszedł do szkoły katolickiej Łazarystów w Karadżalu. Tam pilnie w dalszym ciągu uczył się języka chaldejskiego i ważniejszych zasad religii katolickiej. Czując pociąg do stanu duchownego, już po dwóch latach nauki w szkółce, przeszedł do seminarium w mieście Kozrowa, rezydencji Arcybiskupa archidiecezyi Salmas, i po dziewięcioletnich studiach otrzymał święcenia kapłańskie, wkrótce zaś potem został mianowany proboszczem w Karadżalu, oraz profesorem języka chaldejskiego w seminarium.

Przez jakiś czas pełnił ks. Sermas obowiązki dyrektora małego seminarium; wrócił potem na swoje probostwo, lecz wkrótce znowu został wysłany jako misyonarz do miasta Sirach, stolicy Kurdystanu, i przebył tam lat trzy, studiując gorliwie po za swemi obowiązkami języki chaldejski i francuski.

Wreszcie dla polepszenia zdrowia z pozwolenia biskupiego opuścił na jakiś czas swoje probostwo w Karadżalu; w podróży swej od-





Kompania Lubelska pod przewodnictwem ks. Padzińskiego, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego.”



wiedział w Wilnie ks. biskupa Roppa, potem zaznajomił się z naszym krajem. W końcu miesiąca września miał powracać do rodzinnego Karadżalu, lecz obecne zamieszki na Kaukazie prawdopodobnie staną temu na przeszkodzie.



Ksiądz Sermas, kapłan chaldejski.

Ksiądz Sermas miłą powierzchownością i ujmującym obejściem, oraz swą gorliwością w pełnieniu obowiązków kapłańskich zyskał sobie szczerą sympatyę i szacunek wszystkich, do których się zbliżał. W Wilnie ks. biskup Ropp wyjątkową darzył go życzliwością, którą też umiał

ocenić ów kapłan, bo z zachwytem odzywał się o wielkich przymiotach serca ks. Biskupa. Równie mile i z rozrzewnieniem wspomina ks. Sermas o głębokiej pobożności ludu naszego i braterskiej przychylności duchownych i świeckich, u których przebywał.

W toku romowy ze smutkiem dotknął kwestyi samozwańczych księży, niby chaldejskich, którzy pojawiali się w naszym kraju. Okazało się, że byli to zwykli awanturnicy. Biskupi wschodni obecnie na podobne wyjazdy swoim podwładnym nie zezwalają; wyjątek uczyniono jedynie dla ks. Sermasa, bo jako chory, nie mógł wypełniać swoich obowiązków pasterskich.

Czcigodnemu kapłanowi z serca życzymy rychłego i zupełnego powrotu do zdrowia, by nadal mógł tak samo owocnie, jak przedtem, pracować na niwie Chrystusowej.

**Kompania z Lublina.** Liczna kompania z Lublina przybyła w wzorowym porządku na miejsce święte pod przewodnictwem ks. Padzińskiego.

Zachowanie się pątników w drodze i na Jasnej-Górze było bez zarzutu. Wszyscy wypowiadali się i przyjęli Komunię świętą. Po parudniowym pobycie na miejscu cudownem pątnicy powrócili do swych domów. Ksiądz Padziński starał się swoją energią utrzymać porządek w kompanii, a jako gorliwy kapłan otaczał czułą opieką pątników podczas pielgrzymki.

**Kompania z Włoszczowy.** Liczna kompania z parafii włoszczowskiej, dyecezyi kieleckiej, przybyła na Jasną-Górę pod przewodnictwem księdza dziekana Majewskiego. Pątnicy zachowali się wzorowo w czasie pielgrzymki. Wszyscy przystępowali do Stołu Pańskiego na świętem miejscu. Nadmienić wypada, że mała i biedna parafia włoszczowska, składa się bowiem z niezamożnych włościan, biednych rzemieślników i wyrobników, za staraniem gorliwych pasterzy posiada piękny parafialny kościół z cudownym obrazem Matki Boskiej Różańcowej, do którego licznie przychodzą kompanie z okolicznych wiosek w większe uroczystości. Obecny proboszcz, ks. dziekan Majewski, gorliwy pasterz o dobro owieczek, powierzonych jego pieczy, pracuje niezmiennie o dobro dusz zbawienia i w myśl swego poprzednika prowadzi i uzupełnia porządki kościelne w dalszym ciągu. Parafianie umieją ocenić pracę swego kapłana, szanują go i kochają szczególnie za jego wielką łagodność i dobre gołębie serce. Oby parafianie nie przestawali być posłusznymi swemu pasterzowi!

---



## O F I A R Y:

**Na kościół Ś-lej Rodziny w Częstochowie.**

A. Genzel w Krasnym Brzegu . . . rb. 2 — kop.

**Na biednych do uznania Redakcyi.**

A. Skwarkowski w Noworosyjsku . . . rb. 5 70 kop.

J. Jachołkowski w Łukanicach . . . rb. — 25 kop.



## Nowiny z daleka i z bliska.

---

**Jubileusz 25-letniej pracy kapłańskiej ks. Józefa Zalewskiego.** W dniu 12 b. m. w Sułoszowej, w okolicy Olkusza, święcił 26 tą rocznicę otrzymania święceń kapłańskich proboszcz miejscowy, ks. Józef Zalewski. Na tę uroczystość przybyło z sąsiednich parafij wielu księży, aby powszechnie lubianemu i szanowanemu Jubilatowi złożyć serdeczne życzenia. Szanowny Jubilat, urodzony w r. 1858, otrzymał święcenia kapłańskie w Kielcach, w r. 1880. Przez lat kilka pełnił obowiązki wikarego, wreszcie mianowany został proboszczem w Sułoszowej. W ciągu 17-tu lat swego tu pobytu tak zżył się ze swymi parafianami, tak potrafił wnikać w ich życie duchowe, że wszyscy stali się niejako Jego braćmi, czcząc Go i kochając.

I wśród braci-pracowników na jednej roli, kapłanów, pozyskał sobie szczerą przyjaźń i sympatyę, czego dali najlepszy dowód, stawiając się in gremio na uroczystość jubileuszu.

Na uroczystość tę przybył również dziekan i proboszcz olkuski, ks. Marcin Smółka

Redakcja „Dzwonka Częstochowskiego“, łącząc swój głos z ogólnym chórem życzeń dla Czcigodnego Jubilata, składa i swoje, serdeczne i szczerze — „Ad multos annos!“ wzorowemu kapłanowi i człowiekowi.

**J. E. Arcybiskup Symon w Manistee, Mich.** Dzielimy się z czytelnikami szczegółami przyjęcia w Ameryce ks. Arcybiskupa Symona.

Już na kilka dni przed Jego przybyciem zawrzało miasto całe jakimś nowem gorączkowem życiem i z każdym dniem przybierało coraz to bardziej odświeżony radosny nastrój. Budowano przepiękne łuki z napisami ozdobnymi w zieleń i żywe kwiaty, domy zawczasu przystrajano

podobnie, zwożono całymi dniami do miasta, najrozmaitsze drzewa, aby niemi wysadzić ulice, któremi miał postępować pochód. Dzieci szkolne, małe i większe, jakoteż i dorastająca młodzież przebiega w pośpiechu ulice miasta, przygotowując coś na przyjęcie dostojnego gościa.

Nadszedł wreszcie wtorek, dnia 8 sierpnia.

Około południa, nieprzeliczone tłumy zaległy dworzec kolejowy i przyległe ulice w oczekiwaniu pociągu z ks. Arcybiskupem. Po upływie godziny nadszedł wreszcie pociąg, a gdy z ostatniego wagonu wysiadł sędziwy arcypasterz w otoczeniu licznych duchowieństwa, zagrzmiały salwy moździerzowe, orkiestra zagrała pieśń rzewną i wśród dźwięków muzyki i radosnych okrzyków przeszedł czcigodny Arcypasterz przez szpaler dzieci szkolnych, przybranych w stroje narodowe, do każdego prawie dziecka zwracając się z jakimś słówkiem pieszczotliwym. Wsiadłszy do bogato i gustownie w kwiaty, zielen i kolory polskie, papieskie i amerykańskie przybranego powozu, wziął ze sobą ks. Arcybiskup ks. Opyrchalskiego i Szukalskiego. Następne powozy zajmowali księża: Nowakowski, Lewandowski, Ponganis, Bieniawski, Pietrasik, Magnam, Banasiewicz i inni.

Tymczasem muzyka grała utwory narodowe, a sześciu marszałków na koniach torowało drogę. Wreszcie ruszono z miejsca. Najprzód postępowała orkiestra, za nią: parafranie w odznakach, towarzystwo ś-go Józefa, dalej wóz Krakowianek w narodowych strojach, za nimi w przepysznych niebieskich i białych kostymach postępowały „Mazurskie dzieci”, na końcu szły prywatne powozy rodzin polskich: Pietrasików Zielińskich, Piotrowskich, Gramzów i innych. Była to pierwsza dywizja pochodu.



Ksiądz Jubilat Józef Zalewski, proboszcz z Sułoszowy, dyecezyi Kieleckiej.

Drugą dywizję pochodu rozpoczynała druga orkiestra, przygrywając pieśni narodowe; za nią gustownie ubrani „polscy marynarze“ dalej czerwono-żółte „polskie kanarki“, towarzystwo ś-go Stanisława, następnie powozy prywatne i dwa powozy komitetu przyjęcia.

Trzecią dywizję rozpoczynała trzecia orkiestra, za nią postępowały: towarzystwo ś-go Wojciecha, dalej „Polskie Różyczki“, dwa wozy z „Krakowskiem weselem“, dwa drugie wozy z dziećmi w bogatych i gustownych strojach krakowskich, za nimi cztery powozy z księżmi; następnie przepysznie ustrojony wóz z „Niezapominajkami“, rzucającymi przed powóz ks. Arcybiskupa różnokolorowe róże. Wreszcie postępował powóz z Dostojnym Gościem, zaprzężony w sześć maścistych doborowych rumaków. Wszystkie powozy, biorące udział w pochodzie były przystrojone w kolory papieskie, polskie i amerykańskie, na powozie zaś księdza Arcybiskupa widniały herby Warszawy. Wszystkie ulice, któremi pochód przeciągał, ozdobione były festonami polsko-amerykańskimi; tysiące ludu polskiego zwartym szeregiem postępowało przed i za powozem księdza Arcybiskupa, głośno okazując swą radość z jego przybycia. Minęliśmy pierwszy łuk z zieleni koło mostu. Drugi łuk w żywe kwiaty przybrany, nosił polski napis: „Witamy, lecz między swymi“, „Witaj Zaczny Arcypasterzu“, „Za Twoją wierność Ojczyźnie“, „Za Twoją wierność Kościołowi“.

Przybywszy przed plebanię, oczom obecnych przedstawił się niejako jeden wielki ogród zieleni i żywych kwiatów, w kształcie łuków, girland i festonów, na których gustownie porozrzucane były chińskie lampiony. Przed drzwiami plebanii umajonej w zieleni i kwiaty, ustawił się szpaler kosynierów; rzuciwszy tu i owdzie jakieś słówko serdeczne przybył ks. Arcybiskup przed próg plebanii, na której widniał gustownie odrobiony napis powitalny: „Gość w dom, Bóg w dom“. Na progu przyjęły Dostojnego Gościa dzieci szkolne chlebem i solą, za co obdarowane zostały pamiątkowymi medalikami. Wnętrze plebanii przedstawiało wspaniały widok najrozmaitszych deseni uwitych z kwiatów i zielonych festonów i pochlebnie świadczyło o guście miejscowego gospodarza. Podczas obiadu chór męski i mieszany wykonał doborowy program, złożony z pieśni narodowych przy akompaniamencie fortepianu i orkiestry parafialnej.

Około godziny czwartej udał się ks. Arcybiskup do hali parafialnej w towarzystwie 16 kapłanów polskich i kilku kapłanów innej narodowości, gdzie odbył się popis dziatwy szkolnej i dorosłej młodzieży. Nastąpiły przemówienia dziewczątek małych i składanie upominków u stóp Arcypasterza, poczem ks. Arcybiskup przemówił krótko, lecz zwięźle, jędrnie i dobitnie, dziękując za tak serdeczne przyjęcie, błogosławił wszystkim i wyraził żal, że nie może wszystkich obecnych zabrać



ze sobą do ukochanej ojczyzny, jak się to jedna z małych dziewczątek wyraziła. Zaznaczył nadto ks. Arcypasterz, że przyjęcia, jakie mu zgotowała Polonia w Manistee, nigdy nie zapomni i że kiedykolwiek zawita na ziemię amerykańską, mile pierwszymi myślami zwracać się będzie do Manistee, gdzie się czuł, jak w domu i gdzie tylotyśne serca tak szczerze i okazale przyjmowały tego, który w imieniu Ojca Ś-go przybył odwiedzić wierne dziatki Kościoła Chrystusowego.

Wieczorem wygłosił ks. Arcybiskup przepiękne patryotyczne kazanie i udzielił błogosławieństwa papieskiego.

Nazajutrz rano udzielił ks. Arcybiskup sakramentu Bierzmowania przeszło 200 dzieciom, do których nader rzewnie i długo przemawiał. Po obiedzie opuścił nas Dostojny Gość, przyczem na odjezdnem dziękował za tak gorące przyjęcie i powiedział, że Manistee przewyższyło wszystkie inne osady polskie pod każdym względem, odnośnie do Jego przyjęcia.

Cześć za to Wielebnemu ks. Opyrchalskiemu i Wielebnym Siostrzom Felicjankom za ich trudy i prace tam, gdzie chodziło o zamanifestowanie naszych uczuć religijno narodowych.

Ks. Opyrchalskiemu należy się jeszcze zaszczytne uznanie za to także, iż był pierwszym, który w swoim imieniu i w imieniu ks. ks. Nowakowskiego, Porganisa, Bieniawskiego, Lewandowskiego, Pietrasiaka i innych, zaprosił J. E. ks. Arcybiskupa Symona do parafij polskich w dyecezyi Grand Rapids.

**Z Mandżuryi.** Nadesłano nam list z Mandżuryi od żołnierza armii czynnej, datowany z dnia 15 czerwca r. b, który niżej zamieszczamy:

Kochani Rodzice! Donoszę Wam, iż z łaski Boga jestem zdrów, czego i Wam z całego serca życzę. Przykryło mi się tu w początkach okropnie, gdyż w pułku, w którym teraz służy, ludzie po większej części nieznajomi. Dokucza nam tu bardzo brak gazet i książek polskich. Prawie że cudownym wypadkiem dostał nam się do rąk egzemplarz „Dzwonka Częstochowskiego“. Ucieszyliśmy się bardzo i czytaliśmy go z zajęciem i przyjemnością. W liście dzisiejszym, chcę Wam opisać mój stan obecny i to, co dotąd w Mandżuryi widziałem i zauważyłem.

Pułk nasz stoi obecnie w odwodzie o 60 wiorst od bojowej pozycji. Dzień schodzi nam na sypaniu szańców, kopaniu rowów, wilczych dołów, jednym słowem, na wzmacnianiu zajmowanej przez nas pozycji. Gorąca i upały są tu większe niż u nas i nieprzyzwyczajeni, świeżo przybyli z Europy cierpią często z tego powodu ból głowy. Po gorącym i skwarным dniu siadamy wieczorem przed namiotami i gawędzimy

długo, do późnej nocy. Wówczas starsi żołnierze opowiadają nam o bitwach, w których brali udział, o przygodach wojennych, o kraju rodzimym...

Narazie wiele rzeczy mię tu dziwiło. Mężczyźni i kobiety noszą długie włosy, które zaplatają w warkocze. Są to ludzie niemili, bardzo opaleni. Biedni chińczycy noszą ubranie z niebieskiego płótna, bogaci zaś z jedwabiu. W największe upały chodzą z gołemi głowami i tylko wachlarzem zasłaniają się od promieni słońca. Domy budują z gliny. Są one ciasne, ciemne i niezwykle brudne. Sprzętów prawie że nie mają żadnych. Gotują wszystko w jednym kotle, który jest wmurowany w piec. Jedzą gaolan i ryż, chleba nie znają. Kobiety i dziewczyny mało co robią w domu, a w polu nic zupełnie. Palą tytoń od 10-go roku życia. Siedzenie z podwiniętymi nogami i palenie fajki, to całe zajęcie kobiety chińskiej. Dzieci wałęsają się prawie że nagie, przykro poprostu patrzeć na nie. Umarłych grzebią w polu na miedzach, pod drzewami, lub w ogrodach. Panują tu różne zwyczaje co do grzebania umarłych. Jeżeli najstarszy w rodzinie żyje, to młodszych zmarłych nie grzebią w ziemi, tylko ich kładą do wielkiej trumny, zbitej z ośmio-calowych desek. Na trumnie zwykle malują żmije i węże. Trumnę z ciałem zmarłego stawiają w polu pod drzewem i przykrywają gałęziami. Jeżeli zaś potem umrze starszy w rodzinie, to i trumny z ciałami zmarłych wcześniej, które do tego czasu stały w polu, grzebią w ziemi. Chińczycy w szczególnem poszanowaniu mają żmije i węże i czczą je, jako bóstwa.

W pobliżkiem miasteczku mieszka około 300 chińczyków-katolików. Mają oni kościółek i księdza. Nabożeństwa odprawiają się po łacinie. Raz w niedzielę byłem tam nawet na nabożeństwie. Miło mi było, że i tu na ziemi obcej, mogę się pomodlić w domu Bożym.

Z ciekawością przysłuchiwałem się pieśniom nabożnym, śpiewanym po chińsku. Chińczycy-katolicy noszą szkaplerze i różańce. Po nabożeństwie, kiedyśmy wyszli z kościoła, chcieli porozmawiać ze mną, ale że ja nie umię po chińsku, a oni po polsku, lub rosyjsku, więc nie mogliśmy się rozmówić.

Jak zauważyłem dotąd, to ziemia ta urodzajna i dobra, tylko że ludzie są dosyć leniwi i opieszali.

Na tem kończę mój list, gdyż dużyoby trzeba pisać, ażeby opisać to wszystko, co tutaj widziałem i widzę.

Pozdrawiam Was więc serdecznie. Zostawajcie z Bogiem. Kochający was syn.

*Jan Folfus.*



Kompania z Włoszczowy, dyecezyi Kieleckiej, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.





**Przeciwko alkoholowi.** Towarzystwo „Eleuterya“ w Krakowie wydało w tych dniach odezwę lekarzy do społeczeństwa polskiego, mającą na celu agitację przeciw alkoholowi. Poniżej przytaczamy z niej wyjątki: „Badania naukowe wykazały, że alkohol, nawet w miernych ilościach używany, powoduje i wywołuje zaburzenia w czynnościach mózgu, poraża siłę woli, upośledza zmysł krytyczny, przytępia zmysł etyczny i estetyczny, nareszcie osłabia moc panowania nad sobą. Taka działalność alkoholu zmusza do uznania go za truciznę; to też nie powinien on być nadal zaliczany do środków odżywczych. Wiedza stwierdziła następnie, że wskutek używania napojów alkoholowych obniża się znacznie odporność naszego ciała względem zarazków chorobowych wszelkiego rodzaju i że przez to skraca się długość życia ludzkiego. Największe jednak niebezpieczeństwo ze strony napojów wysokokowych widzimy w degeneracyi, czyli zwyrodnieniu rasy ludzkiej. Potomstwo pijących odznacza się wogóle słabą budową ciała, a w szczególności osłabieniem układu nerwowego. Niebezpieczeństwo, o którem mowa, potęguje się obecnie jeszcze przez to, że i kobiety zwolna, ale coraz więcej ulegają zwyczajowi picia, a w ten sposób zakaża się trucizną i ta, dotychczas zdrowa połowa krwi ludzkiej. Gdy matki przyszłych pokoleń zaczną się tak silnie zatrzuwać, jak to czynili i czynią ojcowie, to degeneracya iść będzie z konieczności daleko szybciej, niż szła dotychczas, i już niezadługo nastąpi powszechne zwyrodnienie. Lecz zło, wywołane alkoholizmem, dotyka nietylko tych, którzy mu się oddają, ale godzi również w niewinnych. Uprzytomnijmy sobie owe straszne katastrofy na kolejach, na morzu, w fabrykach, kopalniach, warsztatach; następnie rozboje, złodziejstwa, podpalania i t. p., dokonywane w stanie upojenia. W myśl tego wszystkiego, co powiedziano powyżej, uznajemy za święty obowiązek każdego człowieka myślącego, którego nałóg jeszcze nie pokonał, ażeby wszelkimi siłami współdziałał z tymi, którzy podjęli walkę z alkoholizmem, dając z siebie przykład zupełnej wstrzemięźliwości. Jesteśmy przekonani, że po usunięciu napojów wysokokowych z użycia inne przyczyny nędzy ludzkiej dadzą się łatwiej pokonać i wtedy dopiero nastąpić będzie mogło rozwiązanie wielkich zadań społecznych.

**Z Wołynia.** Otrzymaliśmy od naszego prenumeratora z Wołynia opis przystąpienia 60 dzieci do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej, który, jako zachętę do naśladowania, umieszczamy.

W dniu 12 września 1905 r., w kościele parafialnym w miasteczku Pogrzebiszczu, gub. Kijowskiej, pow. Berdyczowskiego, przez miejscowego proboszcza, ks. Stanisława Janaszka, dopełnioną została z 60-ciu dziećmi ceremonia pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej.

Wszystkie dzieci były odświętnie przybrane, a dziewczęta w białych sukienkach z zielonemi wianuszkami na głowie. Widok tej dziatwy sprawiał na widzu podniosłe wrażenie i nastrojał ducha ku Bogu.

Na kilka miesięcy przedtem potrzeba było w różnych częściach rozległej parafii, jak to zwykle bywa na Ukrainie, wynajdywać, zachęcać i zbierać dziatki różnego stanu i pochodzenia do uczęszczania na naukę świętą. Zaczny ksiądz proboszcz nie żałował trudu i kosztów; zbierał dzieci z całej parafii, rozrzucone po wsiach, folwarkach i miasteczkach, uczył katechizmu, pacierza i pierwszych zasad wiary katolickiej, przyspasabiając do Spowiedzi i Komunii Świętej.

Dzieci korzystały z pracy i poświęcenia się dla nich księdza proboszcza, uczyły się chętnie i jedno przez drugie, starały się odczuwać chęć i dążność zacnego pasterza dla ich wspólnego dobra.

Gdy nadszedł ten dzień uroczysty, dziatwa w przytomności rodziców, opiekunów i kilku obywateli ziemskich, dopełniła Spowiedzi bardzo przykładnie. Około godziny 10 rano, dzieci ustawione na cmentarzu, przy kościele, we wzorowym porządku, spotkał ksiądz Janaszek z wodą święconą przy wielkich drzwiach. Tu, w krótkich, lecz serdecznych słowach przemówił do nich: jaki cel i pożytek dla duszy, ciała, dla rodziców, opiekunów i kraju, przynieść powinni w przyszłości, biorąc temat ze słów: „Jeżeli dom ma być trwały i mocny, powinien mieć dobry i stały fundament“. Tak samo i dzieci, jeżeli mają przynieść pożytek w przyszłości rodzicom, opiekunom i krajowi, powinny od samego początku życia uczyć się postępować podług nauki Chrystusa Pana, opierając się na mocnej wierze, nadziei i miłości.

Krótką tą nauką, widoczne było, jak wpłynęła i ujęła młode lato-rośle, bo gdy ksiądz proboszcz po ukończonej przemowie poświęcił młode główki wodą święconą i z pieśnią na ustach „Pod Twoją obronę uciekamy się“ wprowadził w porządku do kościoła, wszystkie padły na kolana, modliły się przykładnie, dopóki ksiądz proboszcz nie ukończył Mszy świętej, poczem odczytał stosowne modlitwy czyli akty przed przyjęciem Komunii świętej.

Następnie dzieci, z zapalonemi świecami, zaczęły parami przystępować do ołtarza i przyjmować Komunię świętą. Poczem znów ks. proboszcz odczytał stosowne modlitwy i zakończył nabożeństwo hymnem Ś-go Ambrożego „Ciebie Boga chwalimy“.

Po nabożeństwie zaczny i gościnny ks. proboszcz poprowadził swoje owieczki na plebanie i ugaszczwał bardzo serdecznie, aż w końcu przed wieczorem, każde dziecko z dobrą wiarą, nadzieją i prawdziwą miłością, pożegnawszy swego przewodnika, udało się ze swymi rodzicami i opiekunami do domów. Tak więc ks. Stanisław Janaszek, spełniając troskliwie i sumiennie swój obowiązek kapłana katolickiego, oprócz zado-

wolenia wewnętrznego, tego dnia w części dopełnił zlecenia Chrystusa Pana, wyrzeczonego do Ś-go Piotra: „Paś owce moje, paś baranki moje.“

*Andrzej Konicki.*

**Do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego”.** Wobec tego, że niektóre osobistości działające w Paranie, w Ameryce, rozesłały do pism polskich odezwę w celu zbierania składek na rzecz towarzystwa, nazwanego „Macierzą szkolną“ w Brazylii, czujemy się w obowiązku zawiadomić Szanowną Redakcyę, że owa „Macierz Szkolna“ jest tylko zręcznym pomysłem wylęglým w głowach kilku ludzi złej woli.

Żadne towarzystwo tej nazwy nie było w Paranie zarejestrowane i ustawa jego nie została ogłoszona; nie było żadnych zebrań, wyborów ani sprawozdań.

Odezwa owych panów opiewa, że towarzystwo istnieje od roku 1902 pod poprzednią nazwą towarzyswa „Szkoły Polskiej“ w Brazylii. Otóż wiadomo nam, że panowie ci zbierali już składki w Europie, ale otrzymanych sum nigdy nie ogłaszali w Paranie.

Mamy nadzieję, że Szanowna Redakcyja raczy zwrócić uwagę na powyższych słów kilkoro i postara się w stosowny sposób zapobiedz takiemu nadużywaniu ofiarności publicznej. Pozostajemy z poważaniem

Redakcyja tygodnika

„*Polak w Brazylii*“.





# Bóg tak chce!

## Obrazy z czasów Wojen Krzyżowych.

### Prorok fałszywy.

Zmysłowość i wogóle hołdowanie poziomym namiętnościom przejawia się na każdej karcie Koranu. Oto jak Mahomet opisuje sąd zagrobowy i życie przyszłe:

„Przysięgam na miejsce, które ty zamieszkujesz, i na ojca, i na dziecko! Stworzyliśmy człowieka w nędzy. Czyż sądzi, że nikt nie jest od niego potężniejszy? On woła: „Wydałem sumy olbrzymie!” — a czy myśli, że go nikt nie widzi? Czy nie daliśmy mu dwojga oczu, jednego języka i dwojga warg? Czy nie wprowadziliśmy go na dwie drogi: dobrego i złego? A jednak nie przeszedł jeszcze brzegu urwistego. Co to jest brzeg urwisty? Jest to wykupywać jeńców; karmić w dniach głodu sierotę, która jest nam bliska, lub nędzarza, który śpi na głazie. Kto działa w ten sposób i kto wierzy, kto zaleca cierpliwość innym, kto jest doradcą ludzkości, znajdzie się wśród tych, którzy staną po prawicy w dniu sądu. Ci, którzy nazwą kłamstwem znaki nasze, zajmą lewicę i będą otoczeni sklepieniem płomienistym.

Gdy się niebo rozpadnie, gdy gwiazdy będą rozproszone, gdy morza zmieszają swe wody, gdy groby ulegną rozsypaniu, dusza ujrzy swe czyny dawne i świeże. Śmiertelniku! kto cię zaślepił przeciw Panu twemu, który cię stworzył, który dał ci doskonałość kształtów? Strażnicy czuwają nad wami, stróże czcigodni, którzy zapisują czyny wasze. Sprawiedliwi osiągną pobyt rozkoszny, ale przewrotni — piekło. W dniu sądu będą paleni w ogniu i nigdy stamtąd nie wyjdą.



Miłość rozkoszy zaślepia śmiertelnych; niewiasty, dzieci, bogactwa, konie przepyszne, trzody, wioski są przedmiotami ich żądz. To są rozkosze ziemskiego życia. O ileż rozkoszniejsze siedziby gotuje Stwórca!

Nie sądźcie, żeby ci, którzy zginęli w obronie wiary, umarli. Oni żyją i przyjmują pokarm z rąk Boga.

Kto wypełnia przykazania Boga i posłuszny będzie prorokowi, wstąpi do ogrodów pełnych rozkoszy, gdzie szczęścia wiekuistego używać będzie.

Wyznawcy proroka będą mieli pokarm wybrany, owoce najlepsze, usługę pełną poszanowania.

Życzliwością wzajemną przejęci, spoczywać będą na łożach jedwabnych. Podawać im będą czasze, napełnione wodą kryniczną, przejrzyłą i rozkosznego smaku, która nie zaćmi ich rozumu i nie upoi.

Przy nich będą dziewice o spojrzaniach skromnych, o wielkich żrenicach czarnych.

Koniec grzeszników będzie straszliwy. Piekło ich mieszkaniem, jęczeć tam będą na łożu boleści. — Żyjcie w męczarniach — powiedzą im — połykajcie wodę wrzącą i zgniliznę, powstałą z ciał zepsutych.

Nikt im nie powie: — Bądźcie pozdrowieni! — bo w ognich gorzeć będą.“

Tak oto, ponętami zmysłowemi, jednał Mahomet wyznawców dla swojej fałszywej nauki. Przeczy sam sobie, w życiu swoim i w Koranie, na każdym kroku. W życiu prześladował inowierców i nie chcących uwierzyć w niego, w Koranie zaś woła raz:

„Nie prześladowaj bliźniego za wiarę! Stwórca mógłby was zjednoczyć w religii wspólnej, lecz chciał doświadczyć, czy będziecie wierni rozlicznym Jego przykazaniom.

Napominaj wiernych, żeby przebaczali niedowiarkom.“

W innem miejscu tegoż Koranu z wściekłością szaleńca złorzeczy inowiercom, a nawet przeklina wuja własnego:

„Niech dwie ręce Abu-Lahaba przepadną i niechaj on sam przepadnie! Bogactwa jego i prace pójdą na marne! Będzie spalony w ogniu płomienistym, równie jak i jego żona!

Biada potwarcom i niedowiarkom! Będą oni wrzuceni do El-Hotama, to jest ognia, rozpalonego przez Boga...”

Tak się przedstawia Mahomet i jego nauka w oświeceniu prawdy. Umysł chory, przewrotny, fałszywy, chciwy władzy, nie mógł nic

nad fałsz i przewrotność wydać z siebie. A jest to zdanie wszystkich uczonych poważnych. Znakomity dziejopis Holzwarth, pisze:

Mahomet jest przedstawicielem charakteru ponurego, w najwyższym stopniu zaciekłego. Przy niehamowanych niczem żądzach zmysłowych, był on nadto oszustem, dla którego wszelkie środki były godziwe, byle prowadziły do zamierzonego celu. Z wyuzdaniem zmysłowem, które nauka Mahometa popiera, idzie w parze lekceważenie życia i okrucieństwo. Tem się objawia potworna tyrania, jaką widzimy u muzułmanów; dlatego ich dzieje krwią są przesiąknięte. Podniety do przelewania krwi ludzkiej dodawało przykazanie o „wojnie świętej przeciw niewiernym.“ Mahomet jest jakby wojowniczym Mesyaszem, którego Żydzi oczekiwali. Woła on w Koranie: „Wyruszajcie przeciw bałwochwalcom! Gdziekolwiek ich znajdziecie, zabierajcie w niewolę, czyhajcie na nich wszędzie!” A do bałwochwalców zalecał też chrześcijan i Żydów...

(D. c. n.)

